

Lolita Pille

HELL

Tytuł oryginału *HELL*

Przełożyły:

Barbara Gruca

Justyna Rembiasz

Anna Skubel

Joanna Smoleń

Agnieszka Sygnarowicz

Joanna Szot

Agnieszka Zdeb



Rozdział 1

Jestem dziwką. Jedną z tych, których nie możesz znieść; najgorszego gatunku dziwką z XVI dzielnicy, ubraną lepiej niż kochanka twojego szefa. Jeżeli jesteś kelnerem w modnym miejscu albo sprzedawcą w luksusowym butik, bez wątpienia życzysz śmierci mnie i takim jak ja. Ale przecież nie zabija się kury znoszącej złote jaja. Dlatego właśnie moje bezczelne plemię istnieje i wciąż się mnoży...

Jestem żywym dowodem trwałości marksistowskiego schematu, ucieleśnieniem Przywilejów, oszałamiającym zapachem Kapitalizmu. Jako godna spadkobierczyni generacji kobiet światowych spędzam więcej czasu, malując sobie paznokcie, wylegując się w solarium, siedząc z tyłkiem w fotelu w salonie Alexandre Zouari i oddając swoje włosy w jego ręce, oglądając wystawy sklepowe przy ulicy Faubourg-Saint-Honoré, niż ty harując na twoje śmiesznie małe potrzeby.

Jestem czystym produktem *Think Pink generation*, a moje credo to: bądź piękna i używaj sobie.

Wciągnięta w wir ostentacyjnych i wielorakich pokus, jestem muzą bożka, którego zwą Wygląd, na jego ołtarzu składam beztrósco każdego miesiąca ofiarę równą twojej wypłacie.

Pewnego dnia wyskoczę z tego przebrania.

Jestem Francuzką i paryżanką i nic sobie z tego nie robię. Należę do jednej tylko społeczności, tej najbardziej kosmopolitycznej i kontrowersyjnej grupy – *Gucci Prada tribe*. Monogram to mój symbol.

Jestem trochę karykaturalna. Przyznaj, że traktujesz mnie tylko jak głupią sukę: *total look* od Gucciego, wybielony uśmiech, trzepoczące rzęsy.

Popelniasz błąd, nie doceniając mnie. To wszystko jest moją tajemną bronią, dzięki której znajdę sobie później męża, bogatego co najmniej tak jak mój tatuś – to nieodzowny warunek mojej egzystencji rozkosznie i ekskluzywnie frywolnej. Praca nie znajduje się na liście moich licznych talentów. Pozwolę się utrzymywać, i to wszystko. Tak jak kiedyś moja matka i babka. Jednak od kilkadziesiąt lat konkurencja na luksusowym „rynku matrymonialnym” jest zażarta.

Dobre partie przyciągają zewsząd całą bandę modelek, sekretarek i innych ambitnych

pokojówek, które szczerzą się w wystudiowanym uśmiechu i nie cofną się przed niczym, żeby wydrzeć dla siebie lwia część.

Lwia część to luksusowy apartament na prawym brzegu, plus klasa A, plus szafa pełna markowych ubrań w złym guście, plus dwoje blond dzieci, plus drwienie sobie z dawnych kolegów gorzej ustawionych.

O tak, zachodni Paryż, tu wszyscy jesteście piękni, wszyscy jesteście bogaci.

W to, że bogaci, wierzycie bez trudu, widząc cenę za metr kwadratowy. Nie moglibyśmy mieszkać tutaj, nie będąc bogaczami. Piękni. Masz wątpliwości? Zastanów się. W świecie, gdzie awans społeczny przez łóżko robi furorę, brzydkie rodziny uszlachetniły się dzięki mezaliansowi, łączącemu milionera grubasa ze zdesperowaną karierowiczką i wydały na świat doskonale potomstwo, obdarzone wyglądem mamusi i zabezpieczone kontem bankowym tatusia. Nie za każdym razem to się udaje, to pewne. Wystarczy tylko, że tatusia wyroluje współnik, a geny mamusi nie okażą się zbyt silne, a wtedy dziecko urodzi się brzydkie jak tatuś i biedne jak mamusia. I to się nazywa pech, ale nie będę się nad tym rozwodzić. Nie wzięłam pióra do ręki po to, by ci opisywać życie ludzi biednych i brzydkich: po pierwsze – biedni ludzie mnie nie obchodzą, po drugie – ten temat nie należy do najprzyjemniejszych.

Wiesz, świat podzielony jest na dwie części – jesteście wy i my. To skomplikowane, przyznaję ci rację...

Zaraz ci powiem, jak to jest. Masz rodzinę, pracę, samochód, mieszkanie, którego nie skończyłeś spłacać. Korki uliczne, fuchę, miłe miejsce do spania, tak wygląda twoje życie, jeśli masz trochę szczęścia. Metro, urząd pracy, bezsenność z powodu problemów finansowych – to los tych gorzej ustawionych. Twoja przyszłość ogranicza się do powielania twojej terażniejszości. Twoje dzieci, jeśli dobrze pokombinują, będą mogły żyć w mieszkaniu o 50 metrach kwadratowych większym niż twoje i obiją skórą siedzenia z rodzinnego Safrane. Będiesz z nich dumny. Na wakacje podrzuca ci maluchy do domku, który kupisz sobie na południu Francji jako emeryt u kresu sił.

Jesteś przeciętnym mieszcuchem, umiesz naprawić telewizor, a twoja żona świetnie gotuje. I całe jej szczęście, bo gdyby nie, to zastąpiłbyś ją taką samą, tylko że młodszą, biorąc pod uwagę, że to już dwadzieścia lat, jak ona wykręca się atakami migreny. Ostatnim razem dotknąłeś jej podczas meczu Francja-Włochy, kiedy to odruchowo uczepliłeś się jej ręki, ponieważ Francja strzeliła gola 30 sekund przed końcem meczu. „Przepraszam, kochanie”.

Masz teraz kilka zmartwień: musisz naprawić pralkę, Jennifer ufarbowała sobie włosy na czerwono i okazuje większe zainteresowanie piercingiem niż katechizmem; Kevin używa

ohydny język chłopaków z blokowiska. Oboje są przeciętni i brzydzy. To musi być dziedziczne. Sfrustrowana żona rozmyślnie zostawia egzemplarze „Men’s Health”, które później plątają się po twoim biurku. Przylapujesz się na marzeniu o twojej sekretarce w stringach, o twojej siostrzenicy w stringach, o wszystkich w stringach. Życie już cię nie satysfakcjonuje.

Mogło być gorzej. Mógłbyś żyć w kawalerce na przedmieściu, bez telewizora i zmywarki. Wersja z telewizorem byłaby jeszcze gorsza, gdyż cała szóstka twoich dzieci ciągle włączałyby to ryczące pudło, zwłaszcza podczas reality show.

Mogło być i tak, że żyłbyś na ulicy.

Mógłbyś być również jednym z nas...

Ale kim my jesteśmy?

Jesteśmy po prostu spadkobiercami Panów z antycznego Rzymu, Wasali ze średniowiecza, Szlachtą miecza z renesansu, wielkimi przemysłowcami z XIX w., małą grupą uprzywilejowanych, dzierżących spuściznę Francji w szponach, ozdobionych drogą biżuterią od Cartiera.

Własność leży u podstawy nierówności społecznej. Nie skarżymy się na to.

Możemy wszystko zrobić, wszystko mieć, ponieważ możemy wszystko kupić. Urodzeni ze srebrną łyżką w VIP-owskich ustach, beztrąsko łamiemy wszelkie zasady, gdyż prawo bogatszych to lepsze prawo. Kręci nas demonstrowanie snobizmu-dekadentyzmu nieugiętej i cnotliwej biedocie. Prada panoszy się w siedzibie partii komunistycznej, J.-M. Messier, Pan-Świata-Całego obnaża swoje dziurawe skarpetki, Galliano tworzy kolekcję „Zima 2000”, inspirując się kloszardami z Lasku Bulońskiego. Nie robimy tego celowo. Mamy dość bycia bogaczami, którzy udają bogaczy. Gucci lansuje bransolety nabijane ćwiekami, synowie ważnych osobistości golą się możliwie najrzadziej, zwykli ludzie mnożą się na ulicy Montaigne’a, Helmut Lang wylał farbę na brudne dżinsy i sprzedaje je za tysiąc dwieście patyków.

Jeździmy po ulicach Paryża 200 km/godz., mieszamy alkohol z trawką, trawkę z koką, kokę z extasy; faceci dymają kurwy bez gumek, a następnie szczytują w koleżankach swoich siostrzyczek, które puszczają się na wszystkie możliwe sposoby od rana do wieczora. Jesteśmy na haju, unoszeni przez niepohamowany wir szalonej rozpusty. Zażywamy prozac, tak jak ty zażywałeś polopiryne, mamy ochotę popełnić samobójstwo za każdym razem, kiedy otrzymujemy wyciąg z banku, bo to naprawdę żenujące, gdy się pomyśli, że gdzie indziej dzieci zdychają z głodu, kiedy my mamy żarcia powyżej dziurek w nosie. Ciężar niesprawiedliwości całego świata spoczywa na wątłych ramionach dawnych wrażliwych

dzieci. Na naszych ramionach. Jesteś tego ofiarą, ale nie będziemy ci nic wyrzucać.

W każdym razie, cokolwiek byśmy robili, to hańba.

Prawda, że zalewamy gęby półtoralitrowymi winami z najlepszych roczników, na plażach Pampelonne. I co z tego? Ty za to nie płacisz. W dodatku zauważyłam poprzedniego lata, że publiczna plaża przylegająca do Voile Rouge była cały czas przepełniona. Opalano się tam, jak gdyby nigdy nic, i kiedy przejeżdżało porsche, nawet najzwyklejszy boxer (nazywany przez nas „porsche biedaków” z powodu jego ceny, która nie przekracza 300 tysięcy), powodowało to poruszenie – gubiliście kapelusze, zostawialiście kanapki, wyłączaście walkmana, ręce wam opadały, nie mogliście złapać oddechu, wasze „ochy” i „achy” zagłuszały ryk silnika... A ferrari, no to już zbiorowy zawał. Nie ma co zaprzeczać, byłam tam, widziałam was... Wasze błyszczące oczy, zaciśnięte pięści... pałaliście żądzą, wdrapywaliście się nawet na palisadę oddzielającą plażę publiczną od naszej, żeby dostrzec kawałek stringów, zły profil gwiazdy lub nawdychać się wyśmienitego zapachu dom pérignon 85 suszącego się na kostiumie kąpielowym od Eres, i złocistą skórę światowej elity... Dalibyście wszystko, żeby być na naszym miejscu.

Krzywisz się.

Zarzucaś nam ze wściekłością, że się haniebnie prowadzimy. Chcesz, żebyśmy czuli się podle i mieli świadomość trwonienia pieniędzy, których ty nigdy nie będziesz mieć. Na próżno.

Przypominam ci, że płacimy podatki. Ciężko pracujemy, wydając innym rozkazy przez okrągłe dwanaście miesięcy, ale i tak połowy tych dochodów nigdy nie zobaczymy. Państwo nas okrada, żeby twoje dzieci mogły chodzić do szkoły. Dlatego zostaw nas w spokoju.

No dobrze, na razie w porządku. Teraz moim jedynym zmartwieniem jest to, w co się ubiorę. Umówiłam się z Victorią. Jemy dziś razem obiad u Flandrin i powinnam już tam być, ale wiem, że ona jest tak samo niepunktualna jak ja, więc spokojnie mogę wyjść za jakieś pół godziny, a i tak mogłabym się założyć o moją torebkę od Gucciego, że będę na nią czekać co najmniej dziesięć minut.

Mam więc trzy kwadransy, żeby się ubrać, a to nie jest takie proste. Przeglądam zawartość garderoby i dwóch szaf. Duża ilość ciuchów niekoniecznie jest błogosławieństwem, możesz mi wierzyć, wybór i tak jest trudny. Tyle tego i nie mam co na siebie włożyć. Stoję pośrodku pokoju w samych stringach, z papierosem w gębie i niemal ryczę z bezsilności. WKURZA mnie to. Bez wielkiego przekonania decyduję się na blad różową sukienkę od Joseph’a – nosiłam ją już w Saint-Tropez, w wielkanocny weekend. Przez następną godzinę szukam chusty, która by do niej pasowała.

Kłapki od Prady leżą przy wejściu, najwyraźniej tutaj nikt nie sprząta. Chwytam wspomnianą wcześniej torebkę od Gucciego. Na szczęście niedawno kupiłam najnowsze okulary od Chloé, co wprawiło mnie w doskonały humor. Piękna, opalona i „ometkowana”, opuszczam mój apartament w podskokach i z lekkim sercem.

Dzwoni moja komórka. Numer stacjonarny.

– Tak?

– Jak leci, kochanie, gdzie jesteś?

To tylko nieistotna znajomość, i w ogóle jak on śmie nazywać mnie „kochanie”?

– Właśnie wychodzę z mieszkania, umówiłam się z Victorią u Flandrin.

– Poczekaj, jestem na rogu, wpadnę po ciebie.

– OK, pospiesz się.

Podjeżdża trzy minuty później, jak zwykle pusząc się w swoim porsche. Rozmawiam z Victorią przez telefon, siedzi jeszcze w wannie, spodziewałam się tego, ale i tak wydieram się głośno, żeby wiedziała, jaka jestem na nią wkurzona. Victoria umiera ze śmiechu i wali ją to, co do niej mówię.

Mkniemy jak błyskawica 150 km/godz. aleją Henri-Martin i o mało nie rozjeżdżamy jakiegoś palanta...

Pięć minut później jesteśmy u Flandrin. Taras jest już przepełniony, ale to bez znaczenia. Nawet jeśli nie ma już wolnego stolika, to kelnerzy i tak dla mnie jakiś znajdują. Ach, Flandrin...

W szarawym Paryżu, mieście metra i anonimowych ludzi, istnieje gdzieś jeszcze wysepka luksusowej i beztroskiej radości; jak Havre – oaza spokoju, miejsce odnajdywania się, siedziba naszej wspólnoty; jak Saint-Tropez w środku września.

Tutaj promienie słońca nigdy nie gasną. Jeden z nich przesuwają się właśnie po złotych włosach cudownej dziewczyny z nosem zakrytym opatrunkiem; potem zmienia kierunek, żeby pogłaskać wypolerowane zderzaki ciemnoniebieskiego bentley’a, który należy do podstarzałego piękniśa jedzącego właśnie obiad; następnie odbija światło na dwóch złożonych literach torby od Diora; sprawia, że serduszko z cekinów na moich okularach od Chloé iskrzy się tysiącami światełek; jego blask ożywia klamrę paska od Gucciego; później igra na dwóch złotych łańcuszkach od Chaumeta u pewnej Libanki, która czyta „Point de vue”; odbija się od mojej zapalniczki Dupont, żeby w końcu zniknąć w bąbelkach szampana stojącego przede mną.

Victoria właśnie przyszła. Usadawia się, zamawia pomidory z mozzarellą i rozpoczyna „linczowanie” wszystkich obecnych. Widzieć i być widzianym? Nie, linczować i być

linczowanym. Pominąwszy jakość obsługi i kuchnię (oprócz deserów, które są ohydne, o czym każdy wie), Flandrin to „jarmark światowości”, miejsce spotkań całego Paryża, nieograniczone pole działania dla języków tak bezwzględnych jak nasze. Ale nie jesteśmy same. Warto zobaczyć wszystkie te młode dziewczyny w kwiatkach i sezonowym *total look*, dziewczyny o złocistobrązowych włosach, smukłych kończynach, jedzące delikatnie obiad z łokciami blisko ciała, ogólnie wyglądające na niedotykalne...

Ale zbliż się... jeszcze bliżej... i posłuchaj ich ochrypanych i gwałtownych głosów...

Spójrz, przypudrowała sobie nos... Co to za zdzira siedzi z Julianem? To dziewczyna ze Wschodu, kupił ją sobie od Vittorio... Nie wiedziałam, że Vittorio handluje dziewczynami ze Wschodu... A myślisz, że skąd bierze pieniądze na wszystko? Wiesz dobrze, że jego rodzina nie ma nawet złamanego grosza, ten facet pochodzi znikąd... Widziałas Cynthię, ma torebkę Chanel za dwanaście tysięcy... Chodzi z Benjim, tym świrem w marynarskiej czapeczce, który zawsze za nią płaci. Skąd on bierze tyle kasy? Kupił sobie właśnie nowe mieszkanie?... Z giełdy, ale to nie potrwa długo, nie przejmuj się... Nie odwracaj się, jest miłość twojego życia... Z kim przyszedł?... Z miłością mojego życia... Witają się z Cynthią... Halo, no, wszystko w porządku... U Flandrin... *nobody interesting*... Dołącz do nas... OK, całuję cię kochanie... Przepraszam, czy mogłabym dostać deser karmelowy? Dziękuję... Czyje to ferrari? Jak się masz? Usiądź... Myślę, że do Marbelli, mam przyjaciela Wenezuelczyka, który wynajmuje pięćdziesięciometrowy jacht... Ewentualnie na Bali z moimi rodzicami, oderwę się trochę od tego wszystkiego, tu wszystko jest takie płytkie... Fortunę w kasyno... Nie mogę ścierpieć tego faceta... Jestem naspidowana, wczoraj byłam u Chris'a, pogrzealiśmy za wszystkie czasy... Ależ ładniutki te twoje okulary Chanel... Dzięki, kupiłam sobie też kabriolet smart'a... Wiesz, z kim się wczoraj pieprzyłam?... Idziemy stąd?...

Jestem w taksówce, która zawozi mnie do domu. Zaczyna mnie boleć głowa, chyba przesadziłam z paleniem. Mam dziwne wrażenie, że straciłam poczucie czasu.

Co dziś zrobiłam? Zjadłam świetny obiad; pomidory z mozzarellą, solę, którą za pierwszym razem odesłałam do kuchni, żeby mi ją przygotowano jak należy, i za drugim – ponieważ zrobiła się zimna przez ten czas, kiedy mi ją przygotowywano, i jeszcze talerz przesłodzonego makaronu.

Zaprosiłam Victorię, osiem stówek za przyjacielski obiad, to jest przyzwoita cena.

Jakiś idiota przysłał nam butelkę Bollinger'a, którą natychmiast opróżniłyśmy. Przez uprzejmość.

Dołączyli do nas Julien, David nr 1 i David nr 2. Pierwszy z nich to syn sławnego

piosenkarza, którego poderwałam, drugi – syn znaczącego dyrektora, którego poderwałam, trzeci – syn byłego ministra, którego nie poderwałam, bo jest bardzo obleśny.

Przywitałam się z czterdziestoma dwoma osobami, z których sześcioro zostało mi przedstawionych, bo ich nie znałam.

Ferrari Maranello z luksemburską rejestracją przyciągnęło moją uwagę. Niestety jego właściciel się nie pokazał.

Syn byłego ministra, bardzo obleśnego, wyszedł do kibla wciągnąć sobie działkę, a syn sławnego piosenkarza z synem znaczącego dyrektora zaczęli nabijać się z matki syna byłego ministra, którą zresztą ich ojcowie obracali, i to nie raz.

Naspidowany i odświeżony syn byłego ministra, korzystając z nieobecności syna znanego piosenkarza, który opierdalał przez komórkę faceta z warsztatu Porsche za to, że nie skończyli jeszcze naprawiać w jego aucie skrzyni biegów, zmasakrowanej podczas pewnego wyścigu, skądinąd przegranego z pewnym Andreą na peryferiach, o trzeciej nad ranem dwa dni temu. Tak więc w tym momencie syn byłego ministra poinformował mnie, że bardzo znany piosenkarz nie ma więcej niż dziesięć patyków.

– Bądź co bądź, jego syn jeździ porsche?

– Typowa zewnętrzna oznaka bogactwa. Jego porsche jest niewiele bardziej pokazowe niż 8210.

– Ach.

Ty, który marzysz o naszej olśniewającej i złotej zamożności... to tylko pozory. Kasa, bryki, przyjaciele, domy w każdym miejscu, wejściówki do wszystkich lokali... I w dodatku nigdy nie mamy nic do zrobienia. I plujemy sobie w gębę.

Prawda jest taka, że wkurwiamy się mocno, bo niczego więcej nie możemy już sobie życzyć.

Świat staje się zbyt mały, kiedy w wieku ośmiu lat miało się już za sobą dziesięć przelotów w business class...

Rozdział 2

Zapada zmrok, a kiedy zapada zmrok, Paryż zmienia swoje barwy i swój sens.

Jestem w taksówce, która sunie przy krawędzi jezdni. Opuszczam szybę, żeby zapalić. Za chwilę będę siedziała w miejscu takim jak Avenue, hotel Costes, Maison Blanche, Nobu, Xu, Man Ray, Korova, u Diep'a, w Market, u Tanjii, u Stresy lub też w Plazie, będę jadła na kolację ciasto francuskie z krabami, oczywiście bardzo delikatne, albo nie będę jeść, tylko napiję się Cosmo lub czystej wódki, będę palić papierosa za papierosem i witać się z ludźmi.

Sybilla jest ubrana w ciuchy od Courrèges'a od stóp do głów, a Chloé pokazuje mi z przejęciem swoją nową torebkę od Diora. Obydwie są inteligentnymi blondynkami. Wszystkie razem nie ważymy nawet stu czterdziestu kilogramów.

Zdaję im relację z ostatnich wyczynów B.

B., bardziej znanego moim przyjaciółom pod pseudonimem podłego B. lub Tego, Który Złamał Moje Serce.

B. ma oczy mieniające się gwiazdami i anielski uśmiech, za którym ukrywa swoje nieczne zamiary.

Podczas pewnej imprezy w Queen, kiedy to apatycznie kończyłam siedemnasty kieliszek wódki, zastanawiając się przy tym, dlaczego wciąż tam jestem, tam i ciągle tam, nagle pośród tych wszystkich śmieci dostrzegłam Boskiego Anioła. Boskiego Anioła o piątej nad ranem.

Oczywiście, B.

Upuściłam kieliszek.

Pospiesznie poznałam B., a następny weekend upłynął pod znakiem soczystych pocałunków.

Moje życie nabrało blasku, a każde następne spotkanie uzmysławiało mi nową doskonałość B.

1. B. był piękny.

2. B. miał Aston Martin DB7 Vantage...

3. B. był zabawny, inteligentny, potrafił rozmawiać i nie wkurzał ludzi tymi egzystencjalnymi pytaniami maminsynka, któremu brak pomysłu, typu: „Audemars Piguet czy Jaeger? Audi TT czy Boxster? Lepszy szary z czerwoną tapicerką czy czarny z

beżową? I jak można zarezerwować stolik w Bains podczas Fashion Week? I dlaczego kołpaki od TT, które są najładniejsze, są zarazem najtańsze?!!!”.

4. B. czytał... książki!

5. B. mnie wyruchał i wzruszył.

Ach tak, po raz pierwszy i ostatni w życiu dałam się nabrać na ten chwyt stary jak świat, a teraz noszę w sobie ten odwieczny ból Zdradzonej Cnoty, którego my, kobiety, doświadczamy od wieków przez tych łapczywych potworów, którzy nie uznają związków z przyszłością.

Jednak wszystko to było zaledwie preludium do mąk, które następnie podły B. zadał mojemu czystemu sercu i jeszcze nieskazitelnemu ego.

Wczoraj wieczorem B., bez najmniejszych skrupułów, pokazał się w Bains z ruską modelką, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, o nienagannych nogach, lecz o świńskiej twarzy bez wyrazu, i natychmiast moja pogarda wzięła górę nad rozczarowaniem, bo kto chciałby jeszcze takiego durnego faceta, który ode mnie woli jakąś paskudną kretynkę, pod pretekstem, że jest ode mnie o trzy głowy wyższa i wymawia „r” niczym wieśniak z Uralu?

Pozory... Wszystko to tylko pozory...

W tle słyhać ten melancholijny kawałek Sun Trust *How unsensitive*, kiedy opowiadam przyjaciółkom o moich gorzkich spostrzeżeniach, o elegancji B. w jego szarym garniturze, o męczącej mnie wczoraj chęci skasowania butelką gęby tej obrzydliwej kurwie, o moich spazmach przed lustrem dzisiaj rano i o mojej decyzji pożegnania się z tą historią, gdyż lepiej być obojętną i godną niż nieszczęśliwą i patetyczną.

Kelner przyniósł Martini Sybilli, wodę Evian dla Chloé i moją wódkę. Dwóch przyjaciół B. pyta mnie obłudnie, czy wszystko w porządku między mną a B. Całe szczęście w tym momencie dzwoni moja komórka i wybawia mnie od obrzucenia ich obelgami. Dzwoni jeden ze znajomych z Monaco, który zaprasza mnie na imprezę w Bristolu, a ja nie rozumiem z powodu jego beznadziejnego akcentu i nie wiem, jak odrzucić jego zaproszenie, bo nie mówię po włosku. Rozłączam się pod pretekstem, że wjeżdżam do tunelu. Chloé opowiada Sybilli, jak to biegnąc za taksówką na alei Gabriela, o mało nie rozwalila sobie pięty, więc Sybilla i ja pytamy przerażone: „W twoich butach od Gucciego?”. Ale ona odpowiada ze zniecierpliwieniem: „Buty w porządku, chodziło tylko o piętę”, kiwamy głowami ze zrozumieniem i wtedy ja pytam Chloé, czego szukała na alei Gabriela, ponieważ nie ma tam butików, a ona wymiguje się od odpowiedzi i zastanawiam się, czy czegoś nie ukrywa, gdyż B. mieszka właśnie przy alei Gabriela. Dawno się już nie widziałyśmy, dlatego też mamy sobie dużo do powiedzenia. Ja opowiadam im o jednej z moich przyjaciółek,

modelce, której one nienawidzą, a ona jest na pierwszych stronach „Gali”, a Sybilla pyta mnie, czy znam niejaką Gudrun, w tym miesiącu znalazła się na okładce „Vogue”, wywłokę, którą w trzy tygodnie wyobracał cały Paryż, i czy eks Sybilli jest wśród tych facetów, czy też nie? Następnie zgadzamy się co do tego, jaka to byłaby przyjemność zmasakrować wszystkie modelki, nawiedzające XVI dzielnicę. Zapewniam Sybille i Chloé, iż jedynym atutem dziewcząt ze Wschodu są ładne kości policzkowe i że częściej pozwalają się przelecieć niż fotografować. A Chloé dorzuca jeszcze, że chociaż „oni” je dymają, to jednak „oni” nie zenią się z nimi, a ja mówię, że z nami też nie, ale to nie rozśmiesza nikogo. Później nie jesteśmy zgodne w kwestii pewnego skandalu politycznego, który w tej chwili zajmuje czołówki gazet. Więc wyciągam z mojej torebki artykuł z „Paris-Match”, gdzie piszą o tej podejrzanej aferze, żeby im udowodnić, iż mam rację. Chloé dzwoni do syna jednego z głównych bohaterów tego skandalu, a on odsłania nam prawdę, i przez pięć minut nie mówimy ani słowa, tak jesteśmy zszokowane. Sybilla pokazuje mi SMS-a, jakiego wysłała swojemu facetowi późną nocą, i opieprzam ją, gdyż jestem przeciwna SMS-om, które wysyła się o czwartej nad ranem – moim zdaniem jest to oznaka słabości, duże litery przesuwają się na ekranie telefonu: WSPOMNIJ MNIE KIEDY TWOJE DZIECI BĘDĄ ĆPAŁY I SIĘ PUSZCZAŁY. A ja zasugerowałabym raczej: zdechniesz sam i to twoja wina albo też nagrałabym na jego automatyczną sekretarkę piosenkę Aznavoura *Gdzie się podziało moje dwadzieścia lat?* Następnie postanawiamy porysować jego mercedesa, gdy będziemy wychodzić z lokalu. Nasze komórki zaczynają dzwonić równocześnie. To odzywają się przyjaciele, którzy dołączają do nas za kilka minut, akurat po tym, jak skończymy dyskusję na temat zdradzanych dziewcząt, które mają w zwyczaju obgadywać swoje rywalki. W moim umyśle rodzi się diaboliczny pomysł, ale odpuszczam.

Obserwuję otaczających nas ludzi zwabionych blaskiem świateł – zapewne byłiby mniej piękni w świetle neonów na stacji metra – nieskazitelna aleja Montaigne’a: niewielu obcokrajowców i butik Fendi, kilka porsche z rejestracjami księstwa Monaco, ferrari we wszystkich możliwych kolorach, kilka ambasad, żadnych piekarni, i jeden z moich eks stojący na przeciwległym chodniku. Z daleka sączy się muzyka barowa, która unosi się nad zapadającym zmierzchem, są też dealerzy przypominający biznesmenów i prawdziwi biznesmeni, i ich synowie przypominający dealerów, i jedno czarne porsche o numerach 750NLY75 mija nas, sunąc powoli, jakby płynęło... i nagle przypominam sobie, że jutro rano usuwam ciążę.

W tym właśnie momencie całkiem niezły facet, który siedzi przy stoliku obok, pyta mnie i Sybille, czy jesteśmy z jakiejś agencji modelek. Parskamy śmiechem, następnie

przyjmujemy role kompletnych kretynek i z zainteresowaniem dyskutujemy z nim o wzroście, wadze, pokazach mody, zdjęciach. W końcu facet daje nam wizytówkę, na której widnieje logo jednej ze znaczących agencji modelek, nazwisko brzmiące włosko i tytuł „dyrektor castingowy”. Wtedy wszystkie trzy wybuchamy chorym śmiechem przerywanym jedynie obłąkanymi krzykami, gdyż w taki właśnie sposób się śmiejemy, a Sybilla wyciąga portfel ze swojej torebki od Courrèges’a i wręcza mu swoją wizytówkę, bezczelnie przy tym chichocząc.

– Oto prawdziwe logo agencji mojego ojca, jeśli zaś chodzi o dyrektora castingowego, to jada u mnie kolację raz w tygodniu. I to na pewno nie jesteś ty.

Zatyka go całkowicie, później jednak pojawia się na jego twarzy tajemniczy uśmiech i myślę, że wygląda jak ostatni prostak, gbur, ale że tak naprawdę to jest całkiem niezły, i patrzę na Sybillę, która także się uśmiecha, ale już w inny sposób, i zaczynam rozumieć, czemu Vittorio (ponieważ tak ma na imię) nie zaprzestaje swojej walki i pyta Sybillę, czy na wizytówce to jest jej numer, czy też jej ojca, a ona odpowiada, że to jej, a wtedy on stwierdza, że właściwie to już wychodzi, i w rzeczywistości wychodzi, a kiedy opuszcza salę wszyscy śledzą go wzrokiem.

– Nie należy ufać facetom, którzy noszą Daytony i rozdają fałszywe wizytówki – oświadcza Chloé.

– I dziewczynom, które plątają się po alei Gabriela nie wiadomo po co. – Tym ją zaginam.

Moja komórka znów dzwoni. Numer zastrzeżony, odbieram, nikt się nie odzywa.

Najwyższy czas iść do Cabaretu.

Wychodząc, mijamy się z dwoma lub być może trzema przyjaciółmi milionerami z Iranu, którzy udają się w to samo miejsce, rozsiadają się w dwóch bentleyach, kiedy my tłoczmy się jako tako w sześć osób w TT i Boxsterze, stwierdzając, że bogactwa są niesprawiedliwie rozdzielone.

Przed lokalem dostrzegam samochód B. i zastanawiam się, czy nie lepiej było zostać w łóżku i kończyć czytać *Oblubienicę Pana* lub słuchać płyty Buddy, paląc przy tym niedozwolone substancje.

Wchodzimy szybko i prawie zbiegamy po schodach. Lokal jest przepelniony i mam wrażenie, że wszyscy noszą maski z dwiema dziurami na oczy, tylko B. ma odsłoniętą twarz.

Przez następne dziesięć minut jestem zmuszona witać się z wszystkimi, później dopiero mogę schronić się przy moim stoliku i odwrócić się plecami do tego drania w pomarańczowym swetrze z podwiniętymi rękawami. Rozmyślam nad strategią przywitania

się z kim trzeba tak, by nie zbliżyć się do B. Są te same modelki, które były wczoraj w Bains, ci sami bookersi czy też domniemani bookersi, ubrani byle jak, to zupełnie normalne, to Fashion Week, którego atmosfera unosi się w powietrzu i dręczy ludzi do tego stopnia, że jest aż namacalna... FUCKME I'M FAMOUS!!!! I po raz pierwszy słyszę tutaj wycie Marlyn'a Manson'a, jakie to ma zresztą znaczenie; obecni wyglądają na naćpanych i wiem, wiem, że wszystkie dziewczyny czuły się okropnie, budząc się tego ranka, i że czekają na telefon, którego nigdy nie będzie. I zastanawiam się jeszcze raz, co ja tutaj robię, podczas gdy mogłam zostać spokojnie u siebie, oglądając *Ally Mc Beal*. A potem nastrój nieco mi się polepsza, bo zdaję sobie sprawę, że jeśli by zapytać wszystkich tych ludzi, czego tu szukają, połowa z nich natychmiast zalałaby się łzami. Druga połowa odpowiedziałaby ze zniecierpliwieniem: „No przecież to Fashion Week!?!” lub może „Because, it's Faaaashion Weeeeeeek!”, ale to są w końcu modelki i nie należy zbyt wiele od nich wymagać. Biedne, wykończone, spędziły na wybiegu całą dobę, w każdym razie wrócą do Nowego Jorku za dwa dni i nie będą nas więcej wkurwiać aż do następnego sezonu.

Jest bardzo gorąco i wszyscy mówią po angielsku, jakie to ma zresztą znaczenie, wystarczą trzy wódki, kilka pogardliwych komplementów i nic już nie jest ważne. Niech sobie będzie, kto chce, i tak najistotniejsze, czy grzywka, którą sobie obciąłam u Toni'ego and guys tego ranka o 16.00 wytrzymuje tę wszechobecną wilgoć. I jeszcze pole widzenia B., który trochę za bardzo popatruje na nasz stolik. Proszę Sybillę, żeby dała mi znać, kiedy i z jaką częstotliwością B. odwraca głowę w moją stronę, gdyż chciałabym:

1. nie cieszyć się na darmo.

2. wykazać się królewską obojętnością na jego spojrzenie, wiedząc równocześnie, czy na mnie ciągle patrzy, czy nie patrzy.

– Czekaj, przyszedł ten facet, z którym rozmawialiśmy przed chwilą – mówi do mnie zachwycona.

– Ten domniemany booker twojego ojca?

Odpowiedź jest twierdząca, więc musimy teraz udawać kompletnie naćpane, chociaż nawet nie mamy przy sobie koki, a wszystko po to, by usprawiedliwić nasze piętnaście wypraw do toalety, w celu przejścia tuż przed stolikiem Vittorio, gdyż panna Sybilla chciałyby zobaczyć i jego znajomych, i nazwę butelki, która stoi na jego stoliku, i czy marka Vittttttorio? Wcale nie, gdyż Vittorio tak naprawdę nie wygląda nawet na faceta, który stawia butelki. Później Sybilla chce się dowiedzieć, czy dziewczyna, z którą on właśnie rozmawia, jest ładna? A jeśli tak, to czy jest ładniejsza od niej? Ach tak, a dlaczego? I co on właściwie jej opowiada, i dlaczego trwa to tyle czasu? Ja jednak mówię Sybilli, żeby sobie nie

zawracała głowy tą dziwką, gdyż jeśli on rozmawia z nią w tej chwili o procentach, które pobierze za jej niewyobrażalnie wysokie zyski, kiedy już zrobi z niej sławną modelkę, to projekt nie ma raczej szans na realizację, gdyż Vittorio nie jest żadnym bookerem, co więcej, ta kretynka ma niefirmową torebkę. Sybilla się rozchmurza, a ja mogę w końcu usiąść i poświęcić całą moją uwagę B. W tym czasie wybija już czwarta rano i nie wiadomo, skąd nadchodzi Cassandra i mówi, że najwyższy czas się wynieść z tego już na wpół wyludnionego miejsca.

Wychodzę z Cabaretu rozczochrana, mając ochotę na wszystko, tylko nie na powrót do domu, pomimo oburzenia Sybilli, Chloé, Juliana, Davida i Davida, którzy wracają już do domów w XVI, VII i VIII dzielnicy i nie rozumieją mojej wytrzymałości: „Nie masz dość imprezowania... Nie masz dość Queen... Nie jesteś już tym zmęczona?...”.

Nie są zbyt przekonujący, a ja biorę pod ramię Cassandrę i pakujemy się w ostatniej chwili do ferrari najlepszego przyjaciela jej wuja, który jeszcze imprezuje, mimo że ma pięćdziesiąt lat i dwie córki, które są w naszym wieku, i za którymi nie przepadam. Podróż do Queen trwa zaledwie minutę dzięki szybkości pojazdu i niewielkiej odległości między lokalami.

Parkujemy na Polach Elizejskich, a samochód ma numer rejestracyjny 456GT75. Wydaje się, że to wieczór poświęcony Ministry of Sound, kolejka przed wejściem ma około pięćdziesiąt metrów, naturalnie my w niej nie stoimy. Muzyka jest jak zwykle tak głośna, że ściany wydają się trząść, jeden rzut okiem na łoża dla VIP-ów i stwierdzam, że „wszyscy” tam są, a my w kilka sekund zajmujemy środkową łożę; obok nas blisko sześćdziesiąt osób skacze, gniecie się i wrzeszczy, kiedy tylko usłyszą pierwsze dźwięki tej genialnej piosenki Silicone Soul.

Spotykam Victorię już naćpaną, która oświadcza mi, że ma kokę i przed zaciągnięciem mnie do toalety w biegu rzuca na ławkę swoją torebkę. Victoria ma metr osiemdziesiąt (jej matka, księżniczka, jest obdarzona najsilniejszą osobowością, z jaką kiedykolwiek się spotkałam), przepycha się między ludźmi, wrzeszcząc, iż jest *very important person* i że *very important persons* nie stoją w kolejce, żeby się wysikać. Obejmuje faceta pracującego w kiblach, ocierając się o jego tors, później popycha mnie za drzwi, podając mi dyskretnie paczuszkę, która musi zawierać gram, i robię to, co do mnie należy.

Wychodzę, oddaję jej pół grama; patrząc w lusterko, spostrzegam, że mam włosy w oczach i że rozmazał się mój tusz do rzęs. Wracamy do łoży, wspinam się na krzesło i trzymając się barierki, zaczynam robić jakieś dziwne rzeczy.

Z drugiej strony sali jakiś facet bez wyrazu obserwuje Cassandrę zbyt natarczywie i

zdaję sobie sprawę, że to ten sam, z którym pieprzyła się rok temu przed wyjazdem na studia do Londynu; mówię jej o nim, pokazuję go, ale nic z tego, ponieważ ona go nie rozpoznaje.

Po raz kolejny zastanawiam się, czego tutaj szukam, skoro mogłam zostać spokojnie w domu i, nie wiem, spać na przykład, kiedy nagle ktoś łapie mnie w tali, odwracam się, to A., A. we własnej osobie. Przyklejony uśmiech ukazuje się na jego zdeformowanej od ćpania twarzy, jest być może nawet piętnaście razy bardziej naćpany ode mnie, bardziej naćpany niż wszyscy ludzie z Queen razem wzięci. Witam się z nim i patrzę, jak zataczając się, oddala się od łóżka, słyszę teraz house w molowej tonacji. Siadam ponownie i wypijam kieliszek jednym haustem. Cassandra pyta, co mi jest, informuję ją o obecności A., rozumie bez żadnych dodatkowych wyjaśnień, ale jest zbyt naćpana, by mnie pocieszać, w każdym razie i tak wali mnie, co miałyby mi do powiedziały.

Wrócił A., z całą pewnością poszedł sobie niuchnąć, jego stolik jest najbardziej *overcrowded* z całego Queen i nie udaje mi się mimo wysiłków dostrzec jego naelektryzowanej postaci pośród modelek, dziwek i kretynów, którzy go otaczają i zasłaniają; mogę jedynie podskakiwać w rytmie Reverso. A. jest wrakiem, rzuca się na wszystko, co nosi spódnicę i znajduje się w zasięgu jego wzroku, a jego twarz nie wyraża już nic ludzkiego. Prawie pieprzy się na ławce z jakąś obrzydliwą wieśniaczką. Myślę sobie, że jest żaloszny, tak żaloszny, że jego gęba jest mi już zupełnie obojętna. Myślę tak przez sekundę. Ponieważ później A. podnosi się i porozumiewa za pomocą znaków z jednym ze swoich przyjaciół i ma przy tym ten promienny uśmiech, który rozjaśnia całą jego twarz, powodując, że opadają mu kąciaki oczu, i zdaję sobie sprawę, do jakiego stopnia liczy się jeszcze dla mnie, a nikt z lokalu nie przykuwa jego wzroku dłużej niż na minutę i wszystkie jego eks dziwne na niego patrzą, a inne dziewczyny uczepiają się go, chociaż on zaledwie trzyma się na nogach, i rozumiem już, że A. zawsze będzie zwycięzcą, cokolwiek by zrobił, pomimo wszystkich jego świństw i łajdactw.

Nawet nie wiem, dlaczego przychodzę tutaj

cierpieć.

Ten publiczny burdel rozbija miłość na kawałki.

Tutaj jest się niczym dla innych.

Jestem dla niego niczym.

Idę do toalety wciągnąć resztę koki.

Wracając do łóża, zmierzam w kierunku A. Omijam zgromadzenie dziwek; A. padł już na ławkę, ma błędne oczy, wyciąga ramiona w moją stronę, siadam u jego boku, pytam go, jak leci, nic nie rozumiem z jego niewyraźnej odpowiedzi, bełkocze, że musimy porozmawiać, że sporo czasu już minęło, odkąd się widzieliśmy, że musimy iść do niego wciągnąć trochę koki i podyskutować. Mam ochotę odmówić, ale nie mogę. Opuszczamy Queen, kolejny raz.

Idziemy ramię w ramię w stronę postoju taksówek, on nigdy nie bierze samochodu, kiedy wychodzi, wie, że nie byłby go w stanie później prowadzić; to ja muszę wskazać drogę kierowcy, w którego stronę A. wyciąga zmięty banknot.

Znajomy zapach jego mieszkania, wszechobecne zdjęcia, jego niezliczeni koledzy, odległe pejzaże, ładniutkie twarze kretynek, ikony – fragmenty jego życia światowego sybaryty, w którym dla mnie nie ma już miejsca. Kładziemy się na kanapie, którą tak dobrze znam, on wyciąga z kieszeni kryształki koki, zapakowane w woreczki z OCB, następnie rozdrabnia je kartą parkingową i zaznacza dziesięć kresek tak białych, że widać je wyraźnie mimo panujących ciemności. Wciąga kilka z nich, podaje mi banknot dwudziestofuntowy i wciągamy resztę. Później włącza wieżę, tradycyjnie puszcza Brassensa i Léo Ferré'ego i patrzy na mnie, szepcząc jakieś słowa.

Jak zwykle, te same wyznania wiary w celibat, te same pochwały wiecznego wyuzdania, wszystko po to, bym zrozumiała... to już znam.

Przez te godziny przed zaśnięciem nie będę już o niczym myśleć, będę wchłaniać przez nos narkotyki i dym przez usta, z niczego już nie zdając sobie sprawy, tylko z tego, że jestem w jego ramionach, już nawet nie czuję mojego wyczerpanego ciała ani głowy, która mi pęka.

U A. czas nie istnieje, o szóstej rano piasek w klepsydrze przestaje się przesypywać zatrzymany głosem poetów, piosenek minionych lat, nieodzownej koki, a dziewczyna leżąca na kanapie będzie zawsze miała dwadzieścia lat.

Obserwuję mój pomarańczowy cień tańczący na ścianie, to przecież mógłby być cień kogoś innego.

A. należy do tych przegranych facetów, miłośników sztucznych światów i grzechów powszednich, zakochanych w dziewczynach, których jeszcze nie mieli, i którzy skończą w samotności. Cały ten czas, wszystkie te twarze, krzyki rozkoszy, bezduszne uściski o świcie, kiedy noc już odeszła, a dzień jeszcze nie nastał, twój orgazm kończy się, a twoje oczy się otwierają, twój pokój to tylko burdel, Baudelaire nie żyje, a w twoich ramionach jest kurwa...

W jacuzzi robi mi się zimno. Szampan, nie piję go. Świece oświetlają nasze mokre

ciała, szarawe w tym półmroku o świcie, który wdziera się już przez okiennice, ta sama, przerażająca sceneria.

A. całuje mnie, ale mam otwarte oczy i dostrzegam blond włosy na grzebieniu, a na podłodze opakowania po prezerwatywach, puste.

Jestem zmęczona.

A. włącza mi Życie artysty Ferrégo i oznajmia, że to my, że to nasza historia; jego puste od ćpania oczy patrzą głęboko w moje i staram się w nich odnaleźć moje łzy, ale nic nie widzę. Te przenikliwe dźwięki, które zakłócają świt i ciszę, to naprawdę nasza poroniona historia, zapomniane śmiechy, nie wypowiedziane uczucia, poczucie żalu, że wszystko już skończone i że nic już nie można zrobić. „Że wszystko mi jedno”, śpiewa cichutko Ferré, a A. mówi, że pewnego dnia mogłabym mu napisać tę piosenkę.

*Szczęście, można tylko przejść obok niego,
Jeśli mnie kochałeś... To nie mogło wystarczyć,
A twoja rozwiązłość oszukuje tylko przez chwilę
twoją ukrywaną rozpacz.
To jedno z cierpień, których nie można uleczyć...
To nie twoja wina.*

Jestem w taksówce. Jadę do domu, oglądam Paryż i palę papierosa, na którego nie mam ochoty. Nade mną góruje neon hotelu Concorde Lafayette i przypominam sobie tamten zimowy wieczór. Czekaliśmy na seans w kinie, siedząc na ławce przed hotelem otuleni twoim płaszczem: „Będziemy ze sobą już na zawsze”, powiedziałaś wtedy.

Za każdym razem, kiedy tamtędy przejeżdżam, wydaje mi się, że spostrzegam nasze dwie obejmujące się postacie, ale na tej ławce nigdy nikogo nie ma.

Przeszłość...

Na nowo widzę siebie, czekającą cierpliwie na ulicy Faubourg-Saint-Honoré, przed Hermèsem. Wracales z podróży i chciales się ze mną zobaczyć, byles spóźniony, wybiła druga w nocy, ale nie było mi zimno.

I to, gdy przemierzaliśmy Paryż na twoim skuterze po tym, jak odebrali ci prawo jazdy, nasze pierwsze spotkanie po wakacjach, i kolacja w Saint-Germain, kiedy wypiałam za dużo białego wina i nic nie mogłam przelknąć.

I wszystkie te noce u twego boku, twoje łóżko, do którego byłam tak przyzwyczajona, że mogłam w nim śnić tak jak w swoim własnym.

I Sinatra, Pavarotti, Léo Ferré, kanał TV Paris Dernière i Baudelaire...

Teraz już wiem, że czytasz też innym dziewczynom i właśnie dlatego między nami wszystko już skończone.

Tyle razy już to powtarzałam, ale tym razem to już na dobre, sam wybrałam.

Wolałam swoje życie kretyna, szczęście by nas znudziło. Zdechniemy osobno, samotnie.

Teraz wszyscy opowiadają o twoich historiach, w których nie gram już głównej roli, o twoich niepowodzeniach, podbojach i kiedy mówię o nas w czasie przeszłym, śmieją mi się w twarz...

Ponieważ mówię „my”.

Mają rację.

Uświadamiam sobie, że patrzę na kark kierowcy taksówki, silnik ryczy monotonicznie i deszcz uderza w dach samochodu. Światło z czerwonego zmienia się na zielone, a ja po prostu jestem zmęczona...

Te wyludnione ulice z mokrymi chodnikami, moje wypadki nocne, późne powroty, cały ten świat, to uczucie klucia w klatce piersiowej, uginające się nogi. Mam trudności ze złapaniem oddechu.

Nie mam już na nic ochoty, nie wiem, co robić, nie chcę spać, nie chcę nie spać. Nie jestem głodna. Nie chcę być sama, nie chcę się z nikim widzieć. Mam wrażenie, że jestem zawieszona w powietrzu. Po prostu jestem kompletnie naćpana.

Prawda powoli wychodzi na jaw i staję się pusta... A... nawet A... wszystko mi jedno.

Rozdział 3

Wychodzę ze szpitala, sama. Mama podwiozła mnie tu rano, potem pojechała na zebranie. Powinnam była zostać, ale wymknęłam się pielęgniarce. Boli mnie brzuch. Mam spotkanie z Sybillą w Plazie, nie mogę złapać taksówki.

Włożyłam czarne lniane spodnie, czarny golf, czarne buty Nike i skórzaną kurtkę. Okulary przeciwsłoneczne zasłaniają mi pół twarzy. Nie płaczę, chciałabym tylko złapać taksówkę.

Proszę, żeby kierowca zatrzymał się na początku alei Montaigne'a, dalej mam ochotę iść pieszo. Nie myślę o niczym. Ludzie biegną, spieszą się i potracają mnie. Wchodzę do hotelu, portier rozpoznaje mnie i posyła mi uśmiech. W holu siedzi Saudyjczyk i czyta arabską gazetę, mijam znajomą. Czuję się jak wyrwana z koszmaru. Dzień jak co dzień.

Sybilla jest już na miejscu, ma na sobie buty Adidas zaprojektowane przez Yojhi Yamamoto, płaszcz z norek, a w uszach kolczyki od Perrina. Przez swoje czarne okulary czyta „29,90”.

– Spóźniłaś się, co ty odpieprzasz?

– Byłam na skrobance.

Nie słyszała albo nie chciała usłyszeć, nagłym ruchem zamyka książkę i próbuje zapalić papierosa swoją zapalniczką Dupont, która nie działa.

Muszę zażyć aspirynę, łapię za jej szklanę, myśląc, że to sok z owoców, krztuszę się.

– Co to jest?

– Bellini Martini.

Sybilla nie ma zwyczaju zaczynać picia o szóstej wieczorem, zamawiam to co ona i pytam, co się dzieje.

– Mój ojciec, jak zwykle.

Straciła matkę w wieku trzech lat. Samobójstwo. Mieszka sama z ojcem, prototypem pięćdziesięcioletniego rozpustnika, *show-off*, naćpany, beznadziejny.

Sybilla zdejmuje okulary i odsłania zaczerwienione oczy, żali się, że już dłużej tego nie wytrzyma: humorów ojca, jego brutalności, tych wszystkich naćpanych heroiną ludzi nocą w salonie, śniadań w towarzystwie rosyjskich, piętnastoletnich modelek, kolacji w milczeniu,

powrotów ze szkoły do pustego mieszkania, dzwonienia na komórkę do ojca, w odpowiedzi słysząc, że właśnie wyjechał na Bali albo do Rio na tydzień, spędzaniu całych dni z filipińską pomocą domową, jachtu na Ibizie znanego z najgorszych balang na Balearach, skandali opisywanych w prasie.

Nie wiem, co jej powiedzieć, w sumie jest mi to zupełnie obojętne.

Lamentuje dalej, nerwowo skubiąc amerykańskie marlboro lighty.

– Znowu dał mi kasę, żebym połaźła po sklepach, pieprzę tę jego kasę, mam tego całą torbę, wcale mi to nie pomaga. Jestem uzależniona od Prozaku. Od kiedy mam szesnaście lat, biorę prochy nasenne, wychodzę wieczorami, upijam się, ćpam, mam ataki hysterii: raz płaczę, raz krzyczę, a on mi daje kasę, kasę i ciągle kasę, patrz!!!

Wyjmuje garściami banknoty z torebki i zaczyna płakać.

– Skontaktuj się z opiekunką socjalną, ona ci pomoże, zamieszkaż sama i uwolnisz się od niego.

– Opiekunki socjalne to dla biedaków – bełkocze zrozpaczona.

Jej komórka dzwoni i przerywa uciążliwą ciszę, wzdycha i odbiera, rozmowa nie trwa dłużej niż kilka sekund.

– To był Vittorio.

– Słucham?

– Tak, Vittorio, zadzwonił do mnie wczoraj, wychodząc z dyskoteki. Była piąta rano, siedziałam zapłakana w swoim pokoju, w całym mieszkaniu pełno starych kretynów i dziwek ciągle jeszcze imprezowało, w tle muzyka rockowa z lat siedemdziesiątych, tatuś kompletnie naćpany. Poprosiłam Vittorio, żeby wpadł, poprosiłabym o to kogokolwiek. Znalazłam kokę na stole, najpierw wciągnęliśmy trochę, a później pieprzyliśmy się. Był bardzo miły, bardzo wyrozumiały, rozmawialiśmy dużo o mnie, o moim ojcu, o życiu w ogóle. Absolutnie niczego nie żałuję, było miło.

Wzdycham:

– Skoro jest ci z nim dobrze, to w porządku.

– Ach, wiesz, na początku chodziło tylko o seks, ale potem... Zobaczę, jak będzie dalej.

– Pewnie, czemu nie – zachęcam ją.

– Właśnie idzie – oznajmia – muszę cię opuścić.

Wychodzimy razem. Na zewnątrz oślepia mnie blask słońca, żegnam Sybillę i postanawiam połaźić po sklepach. Kiedy przechodzę boczną aleją, o mało nie potrąca mnie sam Vittorio za kierownicą pięknego 993, niekoniecznie należącym do niego, i serce mi się

kraje na widok Sybilli, wsiadającej do samochodu i znikającej za zakrętem na placu Alma.

Nie mogę nic dla niej zrobić, szkoda.

Biedna, mała Sybilla, którą nikt się nie przejmuje. Zbyt piękna i zbyt bogata.

Wczoraj byłam w Cabarecie i Queen, później ćpaliśmy do upadłego z A. aż do ósmej rano, spałam trzy godziny i miałam skrobankę. Bałam się tego, co będzie potem, ale potem nie było nic strasznego, wypiliśmy drinka ze zdołowaną koleżanką, a teraz idę położyć po sklepach. Dzień jak co dzień.

Z hotelu kieruję się do Diora, rozglądam się po okolicy i mój wzrok zatrzymuje się na placu Franciszka I. Myślę o tej skończonej historii, która się nawet nie zaczęła, i o pożyczonych książkach Georges'a Bataille'a, nigdy mi nie oddanych, ku mojemu wielkiemu żalowi.

Mam wrażenie, że moje odbicie nie pojawia się w stonowanej i lśniącej wystawie luksusowego sklepu. Dzisiaj jestem niezdolna do odgrywania jakiegokolwiek roli na oświetlonej scenie mojego świata. Jestem u Diora i sprawiam wrażenie zafascynowanej przeglądającym katalogiem z dodatkami, w rzeczywistości przewracam kartki, ale nie widzę ich, myślami jestem gdzieś indziej. Błąkam się bez celu między ekstrawaganckimi ciuchami, torbami w kształcie końskiego siodła, tymi D, I, O, R i bez problemu dostrzegam sukces porażki w tym niedorzecznym sklepie. Te panie za kasą, ubrane na czarno, ogoławają kartę kredytową mężczyzny, którego mogłyby poślubić. Dotykam kostiumu kąpielowego z prążkowanego materiału, który nie będzie modny już w przyszłym roku, biorę go. Idę, mijając odświętnie ubrane Libanki, śledzę tańczące mi przed oczami ceny, jak Tomcio Paluch swoje kamyczki. Na moim alabastrowym ramieniu gromadzą się wieszaki z luksusowymi szmatkami, których nie będę nosiła. Jednak je kupuję. Wychodzę ze sklepu, nie mając pomysłu, gdzie dalej się udać. Aleja Montaigne'a promieniuje nieskalaną błogością, której nie odczuwam. Jestem głupia, mam otwarte oczy, ale nic nie widzę. Idę kilka kroków dalej, mijam następną wystawę. I mój wzrok pada na nienaturalnie mały kombinezon. Nic nie rozumiem. Przyglądam mu się. Moja dłoń nie precyzyjnie prześlizgnęłaby się przez wąskie nogawki. Ogłupiała ciągle mu się przypatruję. I zauważam, że wszystko na wystawie jest w tak małym rozmiarze: trzewiki, koszulki, płaszcz *so smart* z naznaczonymi marką guzikami... Rozglądam się dookoła. Mam przyspieszony oddech i wrażenie, jakbym dostała pięścią między oczy. Okrutny ból promieniuje w całym moim ciele, taki, którego żadne słowo, żaden gest nie mogą uśmierzyć. Wyciska mi z oczu nie te łzy, których znaczenia zapomina się, płacząc często nad błahostkami. Dzisiaj to prawdziwe łzy – oplakuję dziecko niedawno noszone w brzuchu, nigdy nie narodzone...

Szlocham żałośnie na alei Montaigne'a, na wprost Baby Dior. Przyciskam trzęsące się ręce do ust, spuszczam głowę, ledwo co trzymam się na nogach. Moje torby z kosztownymi zakupami spadają na ziemię.

Ktoś podaje mi chusteczkę do nosa. Podnoszę głowę. Załedwie dostrzegam nieznajomego przez łzy, które zniekształcają mi obraz. Wycieram nos jak mała, grzeczna dziewczynka i przecieram oczy. Mogę już zobaczyć Anioła Pocieszyciela. Naprawdę ma twarz anioła. Jego oczy jak dwie błyszczące gwiazdy otoczone są gęstymi rzęsami, ma niewiele ponad dwadzieścia lat, uśmiecha się:

– Już lepiej?

Podaje mi torby. W drugiej ręce trzyma jakieś inne, a ja w amoku też po nie sięgam.

– Nie, te są moje. Sądzę, że się znamy, dlatego pozwoliłem sobie ci przeszkodzić. Mogę cię odprowadzić do domu albo zawołać taksówkę, jeśli nie masz ochoty znosić dłużej czyjejś obecności. Nie jesteś w stanie robić dalej zakupów.

Potrząsam głową, nic nie mówiąc i obracam się na pięcie. Oddalam się. Przed kilkoma sekundami sądziłam, że już nic mnie nie pocieszy. Nogi jeszcze mi drżą, nie wiem już dlaczego, to nie jest moment na miłość od pierwszego wejrzenia.

Idę powoli. Wiem, że tym razem nie będę płakała w taksówce. Podoba mi się blask słońca na mojej skórze, zapach moich włosów, ta leniwa i zabawna atmosfera. Jestem chciwa życia, los doświadcza, ale mnie nie złamie. Życie toczy się dalej. Kilka metrów dalej obracam się z uśmiechem. Mam tylko chwilkę, żeby zobaczyć, jak wsiada do czarnego porsche i rzuca zakupy na siedzenie obok. Słońce świeci tak mocno, że na początku nie mogę odczytać tablicy rejestracyjnej, ale samochód rusza i w końcu ukazuje się numer: 750NLY75.

Potem znika z warkotem silnika... Zapalam papierosa.

Dopóki zostanie choć jeden promień słońca na alei Montaigne'a, będzie mi się chciało wierzyć w szczęście...

Rozdział 4

„Jeszcze się nie przedstawiłam. Rodzice nazwali mnie Ella, ale ja od zawsze nienawidziłam tego imienia przeznaczonego dla grzecznej i kochanej przez wszystkich dziewczynki, którą nie jestem i nigdy nie byłam. Przyjaciele zawsze nazywali mnie Elle lub Ona, ale ta bezosobowa forma była jeszcze gorsza. To żadna przyjemność być nazywaną jak każda byle dziewczyna na ulicy albo jak super top modelka, czy po prostu jak czasopismo kobiece.

Tak więc przechrzciliam się, dla siebie samej i dla tych, którzy będą w stanie zrozumieć.

Nazywam się Hell i jestem naznaczona.

Zawsze lubiłam cierpienie. Rozkoszowałam się rozgrzebywaniem moich rozczarowań, gorzkich rozmyślań; kulejący kontakt z rodzicami, niezrozumienie innych dzieci, najczęściej okrutnych i ograniczonych, na których przyjaźń nie miałam nawet co liczyć, odrzucenie, które trwało aż do czasu gdy przestałam być podlotkiem i kiedy zrozumiałam, że lepiej udawać, że wie się mniej niż inni, a najlepiej wyglądać na głupią... To mniej więcej wtedy zaczęłam przeczuwać, że życie to absurd, a to wszystko, co później czytałam, tylko mnie w tym utwierdziło. Na własnej skórze doświadczyłam bólu egzystencjalnego, pytanie: «i po co to wszystko?», powracało coraz częściej i wydawało się nie do zniesienia. Wszelakie stany upodlenia istoty ludzkiej, w którą tak bardzo chciałam wierzyć, czarna dziura przyszłości, nieuchronnie prowadząca do śmierci, czarna rozpacz i inne myśli tego typu, z którymi nie usiłowałam nawet walczyć.

Później miałam skrobankę.

Najpierw nie czułam nic, jedynie odrażającą satysfakcję z obserwowania, jak realizuje się to moje przeświadczenie, że jestem stworzona, żeby cierpieć.

I to zdziwienie: nie cierpiałam.

Świadomość tego, co się stało, dotarła do mnie przed tym sklepem z ubrankami dziecięcymi w kilka godzin po zabiegu. Zaparło mi dech i miałam wrażenie, że snop iskier wybucha w mojej głowie...

Kryzys, który nadszedł, przeraził mnie.

Nie dlatego, że był tak gwałtowny, ale dlatego, iż nie mogłam nad nim zapanować.

Paradoksalnie, kiedyś rozpamiętywanie moich uczuć chroniło mnie przed cierpieniem, które nazwałabym namacalnym, bo wiadomo, co jest jego powodem. Byłam maszyną do czucia, płaczącą, kiedy chciałam płakać, śmiejącą się, kiedy chciałam się śmiać.

Ale nad bólem spowodowanym stratą tego dziecka nie byłam w stanie zapanować, a sposobu, w jaki on się objawił, nie mogłam sobie logicznie wytłumaczyć, na przykład, kiedy o Nim myślę, najbardziej boli to, że nie wiem, gdzie patrzeć, i patrzę w niebo.

Miałam siedemnaście lat, kiedy zrozumiałam, że cierpienie to tylko jeden ze sposobów na ucieczkę od pospolitości, na osiągnięcie wzniosłości. Ale to nie to doświadczenie i ból, których doznałam i ciągle doznaję, uczyniły ze mnie to, czym jestem.

Nic nie wiem o tej krzyczącej beznadziei, wobec której jestem bezsilna”.

Rozdział 5

Dziś w nocy w złotym trójkącie wybuchła bomba. Aleja George-V, nieparzysta strona Pól Elizejskich i aleja Montaigne'a są częściowo zniszczone, asfalt jest zasłany podartymi modelami haute couture, gruzem i ciałami. Paryż został już tylko wspomnieniem. Sześćdziesięciu trzech dyrektorów spółek, potentatów finansowych, polityków straciło dzieci w katastrofie, część rodziny książęcej z Arabii Saudyjskiej zginęła w hotelu Four Seasons, minister spraw wewnętrznych był na kolacji u swoich przyjaciół przy ulicy Boccador, połowa ambasad w Paryżu wyleciała w powietrze, cała Francja jest ogarnięta paniką i sparaliżowana, cały świat się niepokoi i jest ku temu powód, gdyż... **WSZYSCY ZGINĘLIŚMY W TYM WYBUCHU.**

– Bip! Bip! Bip!

Podrywam się. Moja ręka wynurza się spod prześcieradeł i zaciska się na słuchawce tego cholernego telefonu.

– Śpię! – wrzeszczę i gwałtownie rzucam słuchawkę.

Budzę się dziesięć minut później. To znaczy, zaczynam jasno myśleć. Ten wieczór to niedziela, a ja nienawidzę niedziel. Powiedziałam „ten wieczór”, a nie „dzisiaj”, ponieważ jest już piąta po południu – dopiero co się obudziłam, a jest już noc. Dlatego, że to listopad, miesiąc, w którym dni kończą się, zanim mój się zaczyna. Tak więc straciłam jeden dzień z życia. Denerwuje mnie to, w dodatku w niedzielę nie ma nic do roboty, a w listopadzie jest zimno, no i gotowe, jestem w paskudnym humorze.

Próbuję wstać, bezskutecznie, całe moje ciało błaga o litość. Wczoraj wieczorem dałam się wrobić w żalostną balangę po imprezie w Maison Blanche i wróciłam do domu o ósmej rano. Przy wejściu strąciłam jakąś ohydą wazę chińską – zawadzała mi, ale już nie zawadza, bo jest w tysiącach kawałków. Najgorsze jest to, że kosztowała fortunę, a cały ten harmider obudził rodziców, którzy wrzeszczeli na mnie z powodu późnej pory, błędnych oczu i tej wazy chińskiej, a ja im powiedziałam, że porozmawiamy o tym jutro, no i poszłam spać, bo to było to, czego najbardziej potrzebowałam.

Dzwonię więc do rodziców z mojego zastrzeżonego numeru, żeby nie widzieli, kto to. Chcę sprawdzić, czy są w domu i czy będę musiała słuchać ich umoralniających kazań – czekam dwanaście sygnałów, aż włącza się ich idiotyczna automatyczna sekretarka. Nie

pozostaje mi nic innego, jak tylko wziąć prysznic, ubrać się *speedem* i ulotnić się zanim wróca i rozpęta się burza.

Jestem w końcu gotowa i mam szczęście, dużo szczęścia, że jeszcze nie wrócili. Włożyłam dzinsy Guess, botki Prada, czarny sweter z napisem GLAMOUR wybitym kryształkami od Swarowskiego i skórzany żakiet. Nie jestem umalowana – nie miałam czasu, przemykam przez korytarz pędem, bo taksówka czeka na mnie na dole już od dziesięciu minut.

Dziś jemy kolację w Coffee, spotkanie było ustalone na ósmą wieczorem.

Wchodzę do restauracji, jestem ostatnia, a Victoria, Lidia, Laetitia, Chloé, Sybilla, Cassandra i Charlotte, wszystkie naraz zaczynają się na mnie wydzierać, bo czekają już pół godziny i są głodne. Zamówiły mi kanapkę, i nie obchodzi je, czy jestem zadowolona czy nie, cholera, następnym razem przyjdę na czas.

Siadam, kłamiąc, że rodzice usiłowali mnie uwięzić i w ten sposób ukarać za stłuczenie wazy, ale uciekłam przez okno po sznurze zrobionym z powiązanych prześcieradeł.

I tak nikt mi nie wierzy, ale zapada cisza, ponieważ kelner właśnie przynosi dania, a ja stwierdzam, że Chloé jest ubrana dokładnie tak jak ja. Ma taki sam najnowszy sweter GLAMOUR, co mnie irytuje, na szczęście jej torebka ma monogram Vuitton, a moja jest z ukośnie szytej skóry.

Głos Cassandry wyrywa mnie z moich górnolotnych rozmyślań. Z ustami pełnymi oliwek opowiada dziewczynom wczorajszą pamiętną imprezkę, którą straciły. Wylądowaliśmy o czwartej nad ranem u przyjaciela jej wujka, wziętego dekoratora wnętrz, który świętował urodziny w swoim imponującym apartamencie przy alei Jerzego V. Impreza zaczęła się o dziesiątej wieczorem, a kiedy my dotarliśmy na miejsce, pięćdziesiąt pijanych i naćpanych osób, ze sławnym dekoratorem na czele, krążyło po apartamencie z butelkami w rękach, tłukąc, co się dało. A on sam, zalany w trupa, nie przestawał krzyczeć: „Nie trzeba tworzyć, trzeba niszczyć!”.

– Później spotkaliśmy wariata Benjego bez Cynthii, twojego ojca, Sybillo, z Vittorio, Chrisa, A. i tego trzydziestopięcioletniego przystojniaka z Nowego Jorku, Juliana. Wszyscy byli już na haju... Odłączyliśmy się od reszty, poszliśmy do jednego z salonów i Julian wyłożył na stół dwa gramy. Wciągnęli kilka działek, później Hell wstała i pyskując, że towar nie był dobry, dmuchnęła na kokę tak, że na stole nic już nie zostało. Wszyscy chcieli ją zabić, ale twój ojciec, Sybillo, interweniował i nikt już się nie odzywał, podczas kiedy Hell ryczała za śmiechu na kanapie. Później podniosła się i zaczęła wszystkich krytykować, nazwała Vittorio kombinatorem i skończonym prostakiem, powiedziała Benjemu, że skończy

w psychiatryku Sainte-Anne, a jego kobieta jest kurwą, która pierwszy raz obciągnęła druta za dziesięć tysięcy w wieku czternastu lat. Chrisowi rzuciła w twarz, że zdechnie z przedawkowania, Julianowi, że cały Paryż już wie, iż kupił swoją laskę i w ogóle wszyscy są śmieszni – dwudziestopięciolatekowie w tych skórzanych marynarkach, przyciemnianych okularach, zabawiający się co wieczór. Powtarzała ciągle: „pustka, pustka” oraz: „szczeźnicie sami, tacy jacy jesteście”. Twój ojciec z nami wyszedł, Sybillo, i odprowadził nas.

– To teraz odprawiacie swoje imprezki z moim ojcem?

– Nie, Sybilla – prostuję – z twoim ojcem i twoim facetem.

Sybilla dąsa się i nic nie odpowiada.

Później Cassandra pyta Sybille, co ta kombinuje z Vittorio, tym brudnym żigolakiem, który kiedyś oskubie ją do ostatniego grosza.

– Przestań – przerywa jej Victoria – on jej nic nie ukradł.

– Dziękuję, Vittorio.

– Daj mi skończyć, Sybilla. On na razie nic ci nie ukradł, ani pieniędzy, ani telewizora, ani obrazu, zadowala się tym, że zapraszasz go na kolację cztery razy w tygodniu, że pozwalasz mu prowadzić ML twojego ojca, a ty podarowałaś mu przecież jedynie tę okropną marynarkę od Dolce & Gabbana za, bagatela, dwadzieścia tysięcy franków.

– To były jego urodziny.

– No i co – odparłam – znamy się już dziesięć lat, a ty nigdy nie zrobiłaś mi prezentu za dwadzieścia tysięcy, czuję się urażona.

– On biega tylko za twoją kasą, Sybilla – wtrąca się Chloé. – To jasne, nie ma nawet dziesięciu tysięcy, a lubi życie w luksusie, widziałaś jego zegarek?

– No właśnie, spójrzcie na mój nowy Boucheron – mówi ta kretynka Lidia, ale nikt jej nie słucha.

– Mam *newsa* – podejmuje na nowo Cassandra – wiecie, kto podarował mu ten ohydny zegarek Daytona wysadzany diamentami? Gabriella di Sanseverini!

– Wiem – mówi Sybilla – chodzili ze sobą, ale ją rzucił, bo bardzo się na niej zawiódł.

– Jest powód, żeby czuć się zawiedzionym, zegarek za sto tysięcy.

– Niemożliwe, ma kartę stałego klienta u Rolexa?

– To był prezent pożegnalny?

– Nie dorastasz jej do pięt z tą twoją nędzną marynarką za dwadzieścia tysięcy.

– Zejdźcie ze mnie – wybucha Sybilla – przynajmniej mam faceta!

– Przepraszam, ja nie muszę jeszcze płacić za moich facetów – odparowuje Victoria.

– A zresztą – ciągnie Sybilla, która zaczyna się już naprawdę denerwować – wolę

wydawać majątek na Vittorio, niż biegać za jakimiś stukniętymi typami jak Hell, czy być żalosną nimfomanką jak ty, Lidia. Co do ciebie, Cassandra, udajesz przebiegłą, ale porozmawiajmy o rodzeństwie Sanseverini, ponieważ jest Gabriella, która ofiarowuje rolexy komu popadnie, ale jest także jej brat, Andrea, który cię pieprzył, a później porzucił jak byle kurwę.

– Co to za historia, Cassandra? – pytam. – Nigdy mi nic nie mówiłaś o żadnym Andrei. Nie wiedziałam, że Gabriella ma brata.

Przeglądają mi się z niedowierzaniem.

– Nie znasz Andrei di Sanseverini?

Wszystkie siedem ust wykrzyknęło równocześnie.

– No i proszę, Hell – mówi Victoria głęboko zasmuconym tonem – przez to wychodzenie co wieczór i zadawanie się jedynie z parszywymi facetami z klubów nie jesteś już z niczym na bieżąco. Znasz tylko te swoje ulubione knajpy: Cabaret, Queen, odrażających przyjaciół, „którzy cię bawią”, A., B. i wszystkich twoich naćpanych kompanów. Andrea to najprzystojniejszy i najświeższy facet z XVI dzielnicy, o którym śnią wszystkie słodkie idiotki, chociaż żadna go nie miała i żadna mieć nigdy nie będzie.

– Ale to dlaczego?

– Bo jest stuknięty – odpowiada mi Victoria – jeszcze bardziej stuknięty niż ty. Słyszałam obłąkane historie o laskach, z którymi wyprawiał niewyobrażalne rzeczy.

– Opowiedz.

– Pewnego wieczoru spotyka w knajpie Cynthię. Odprowadza ją, wchodzi z nią na górę, ale nawet jej nie dotyka. Ona nie rozumie, co się dzieje. Idzie wziąć prysznic i prosi, żeby do niej dołączył, on odmawia, ona wychodzi naga spod prysznic, rzuca się na niego, próbuje go rozebrać, wszystko na nic. Po upływie godziny on mówi, że musi iść i zostawia ją. Dzwoni do niej następnego dnia i przeprosza, że tak naprawdę wprawiła go w zakłopotanie, że ją kocha i że chce się z nią wybrać na kolację. Umawiają się w nowo otwartej restauracji Barfly, i żeby po nią nie przyjechać oświadcza, że roztrzaskał swoje porsche. W rezultacie nawet nie przyszedł, był na kolacji u Stresy ze wszystkimi swoimi kumplami, podczas gdy ta biedna dziewczyna czekała na niego jak idiotka. Siedziała do północy, później poszła do Bash sprawdzić, czy go tam nie ma. Rozumie się, że był. Wściekła się, jak go zobaczyła, i zaczęła wrzeszczeć. On udawał, że jej nie widzi, nie zna, i tamtego wieczoru na jej oczach poderwał Tatianę Roumanov i zmył się z nią. Biedna Cynthia, cała we łzach wybiegła za nimi aż na ulicę i błagała, żeby jej przynajmniej wytłumaczył, dlaczego jej to wszystko robi. Podobno uwiesiła się na drzwiach jego samochodu i upadła na ziemię, kiedy ruszył.

– Bydlak!

Zostawiam to bez komentarza. Mnie się to podoba.

– Ale to jeszcze nie koniec – podejmuje na powrót Victoria – w samochodzie tłumaczy Tatianie, że zażywa Prozac, ma więc problemy z libido i potrzebuje szczególnych podnieć, żeby mu stanął. Ta dziwka Tatiana obiecuje mu, że zrobi wszystko, co tylko będzie chciał, byleby tylko się z nią przespał. Andrea zawozi ją więc do Chandelles. Wchodzą do pokoju, on ją podpuszcza, podsuwa jej trochę koki i tłumaczy, że ona musi zacząć, a on trochę popatrzy, żeby mu stanął. Zostawia ją w samym środku przedstawienia, po czym zmywa się i wraca do Bash. Dziewczyna oszalała.

Tatiana Roumanov to silikonowa seksbomba, jeździ porsche i ubiera się u Galliano. Nienawidzę jej.

– A ta dziewczyna, którą zostawił przykutą kajdankami do kaloryfera na cały weekend? – wtrąca się Chloé.

– Co? – wykrzyknęłam.

– To Isolda, siostra Chrisa, oszalała na jego punkcie i mówiła, że jest gotowa na wszystko, byleby tylko zechciał ją przelecieć. Tak więc pewnego wieczoru on dzwoni do niej i prosi, żeby do niego przyszła. Kokietuje ją, a potem oświadcza, że nie będzie jej inaczej pieprzył jak tylko przykutą kajdankami do kaloryfera. Ona w końcu godzi się na to. Andrea przykuwa ją i nagle stwierdza, że właśnie zabrakło mu papierosów, więc wychodzi do kiosku, a po drodze spotyka jednego ze swoich kumpli, który właśnie wyjeżdża do Deauville.

– I?

– Pojechał do Deauville, spędził tam weekend. Isolda siedziała przykuta do kaloryfera przez dwa dni, naga, bez jedzenia. Sprzątaczką znalazła ją dopiero w poniedziałek rano.

– Nie wniosła skargi?

– Nie, i to jest najgorsze, była w nim zakochana i nie chciała wnosić pozwu.

– A Chris?

– Chris chciał go zabić, przy dybał go na placu Vendôme, przed restauracją Fred, ale skończyło się na tym, że to Andrea stłukł mu głowę.

– Ale dlaczego on to w ogóle zrobił?

– Byłam z nim w Fidès – wtrąca się Laetitia – i pewnego dnia powiedział mi, cytuję: „nie kocham nikogo i obijam się, nie usiłuję ganiać za rozrywkami ani ukrywać prawdy, życie to jedno wielkie bagno, a każdy przebłysk świadomości jest katorgą”.

Uśmiecham się.

– A ty, Cassandra, co tobie zrobił? W sumie możesz czuć się wyróżniona, że się z tobą

pieprzył, nie każdej jest to dane.

– Nie będę się wypowiadać na temat tego chama. Życzę mu śmierci, nienawidzę go.

Po czym skierowała rozmowę na inne tory. Porównaliśmy bransoletki naszych zegarków, pogadałyśmy o modzie na kabaretki, które według Charlotte były całkowicie *has-been*, co wprawiło w rozpacz Laetitię, która właśnie kupiła sobie takie pończochy Wolforda w szerokie oczka, i o tym, jaki zegarek warto by sobie zażyczyć od rodziców na dwudzieste urodziny. Futro jest zewnętrzną oznaką okrucieństwa i najlepiej wypada w zestawieniu z ohydny szkockim terierkiem, nikt już nie jeździ do Gstaad, a nowy hotel, którego wnętrza dekorował Andrée Putman, został właśnie otwarty przy ulicy Pierre-Charron.

– Dobra, no to co teraz robimy? – niecierpliwi się Victoria.

Skończyłyśmy jeść już dobre pół godziny temu i opróżniłyśmy trzy butelki wina, czas więc najwyższy zdecydować, jak spędzimy dzisiejszy wieczór. Połowa spośród nas skłania się ku pomysłowi pójścia do kina, druga połowa poszłaby raczej na drinka. Po dziesięciu minutach spierania się Victoria rozsądza, że pójdziemy do kina, a potem na drinka, i nikt się nie buntuje.

W osiem osób upychamy się do ML, o numerach rejestracyjnych CRY 75, należącego do ojca Sybilli, który ona prowadzi bez prawa jazdy. Jedziemy wzdłuż ulicy Victora Hugo, w tle leci piosenka *Bel Amour*; śpiewając i wrzeszcząc, jedziemy obejrzeć *Jesień w Nowym Jorku*. Sybilla parkuje przy Polach Elizejskich.

Jest długa kolejka, ale my zamówiłyśmy bilety przez telefon, więc tylko omijamy ją i płacimy kartą. Wchodzimy do sali na koniec reklam, światło się przyciemnia, a wszyscy odwracają się w naszą stronę i przykładając palec do ust, sycząc „ciiiii”, bo robimy dużo hałasu.

W chwili, kiedy zajmujemy miejsca, Cassandra, dusząc się ze śmiechu, pokazuje mi rząd w głębi sali. Odwracam się i spostrzegam A. z całkiem niezłą blondynką, tego wariata Benjego, biedaczkę Cynthię, Juliana, Chrisa i całą bandę patrzącą na mnie krzywo i sztywno, wyjąwszy A., który nie ma powodu, żeby być na mnie wściekłym. Macham do niego ręką i pytam, jak leci, uśmiecha się.

Później pozdrowienia dobiegają z każdej strony, znajomi wstają i podchodzą, żeby się przywitać, a ci, którzy nie wstają, dzwonią do nas. Jesteśmy w R3, Cassandra żre się ze swoim byłym, Victoria rzuca popcornem w dziewczynę, której nie lubi. Nasze zachowanie przeraża profanów (profani: nie należą do naszego świata, nie rozumieją, że w kinie, w sali, gdzie wyświetla się filmy rozrywkowe i niezaangażowane społecznie, trzydzieści osób może się znać). Nie rozumieją naszej społeczności, nie wiedzą, że i Bóg też do niej należy i że nie

trzeba było przychodzić do kina na Pola Elizejskie. Wstają jeden za drugim, krzycząc: „ciii” oraz: „banda idiotów”, siadają z powrotem. Później wzburzenie opada i każdy wraca na swoje miejsce.

– Nigdy więcej kina w niedzielę – mówię do Victorii, która mi przytakuje i stwierdzamy, że film zaczął się już co najmniej dziesięć minut temu.

Wpół do pierwszej w nocy wychodzę z kina, łapczywie zaciągając się papierosem. Wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że film był okropną chałwą, wszyscy oprócz Lidii, której się podobał. Normalne, to debilka. Nikomu nie chce się spać i chociaż przygnębiają nas opustoszałe Pola Elizejskie, postanawiamy iść na drinka do Pershing Hall, tego nowo otwartego hotelu przy ulicy Pierre-Charron.

Nagle Cassandra wybuchła śmiechem, bierze mnie pod rękę, zaczyna śpiewać i zaraża mnie swoją głupawką, która bez wątpienia jest skutkiem trzech butelek wina. Nie wiem dlaczego, ale robię to co ona i groteskowo tańczymy na chodniku przed kinem, kiedy nagle czarne porsche wyłania się z ulicy Colisée i o mało nas nie potrąca (ma numery rejestracyjne 750NLY75), a moje serce zaczyna mocno walić. Samochód hamuje z piekielnym piskiem opon, cofa na wstecznym, szyba opuszcza się wolno i pojawia się Anioł.

– No tak, zawsze widzę cię na haju... Odwieźć cię?

Bez chwili zastanowienia szarpnięciem za klamkę i wsiadam do auta, gnamy Polami Elizejskimi z szybkością na pewno niedozwoloną.

– Nawet nie wiem, jak masz na imię.

– Tak jak chcesz...

– Nieźle się zaczyna.

– Może wolałbyś wiedzieć, gdzie mieszkam. Myślałam, że mnie odwozisz do domu?

Zatrzymuje samochód, wyłącza silnik i odwraca się do mnie.

– Jak masz na imię?

– Nazywam się Hell.

– Jak piekło?

– Dokładnie tak.

Rusza.

– Andrea.

– Słucham?

– Dobrze usłyszałaś.

Nagle wszystko staje się jasne: pobladła twarz Cassandry, kiedy wsiadałam do samochodu, wrażenie podczas kolacji, że ten Andrea ze swoimi nihilistycznymi wywodami i

nieporównywalną perwersyjnością nie mógł być mi całkowicie nieznanym – bo byłoby to zadziwiające w świecie, w którym żyjemy – i to uniesienie, które odczułam dwa miesiące temu przy alei Montaigne’a, kiedy to właśnie doświadczyłam najgorszego w moim życiu. Uniesienie, które poczucie winy stłumiło we mnie do tego stopnia, że wymazałam z pamięci to spotkanie, i które tak gwałtownie pojawia się na nowo. To uniesienie tak świetnie pasujące do tego, czym emanuje osoba, którą mi opisywano.

– Mam złą reputację, co? – mówi Andrea.

Od jakiejś minuty, właściwie od czasu kiedy wyjawiał mi, kim jest, jestem skołowana i nic nie mówię.

– A żebyś wiedział – odpowiadam.

Milczy przez kilka sekund, następnie odwraca głowę w moim kierunku i nieznacznie się uśmiechając, mówi:

– Ty też.

Później pyta, czy nie jestem głodna, a gdy zaprzeczam, wyjaśnia mi swoją niezwykle wstydlivość, która każe mu hamować swoje niewątpliwe pragnienie przebywania w moim towarzystwie. W naszym społeczeństwie otwieranie się na drugiego człowieka jest zabronione, trzeba więc ukrywać najbardziej bezinteresowne skłonności pod płaszczem egoistycznych pretekstów lub, jeszcze lepiej, ciemnych machinacji, żeby nie uchodzić za idiotę. Usiłuje mi więc wmówić, że szuka jedynie kogoś, kogokolwiek, z kim mógłby zjeść kolację lub z kim miałby ochotę się pieprzyć, a właśnie ja znalazłam się pod ręką, że możemy się jakoś dogadać, wszystko, byleby tylko nie przyznać się do tego, że jest zauroczony, zaintrygowany moją osobą, że to już drugi miesiąc, jak nie może przestać myśleć o naszym nagłym spotkaniu przed Baby Dior, i że to opatrność postawiła mnie na tej czarnej ulicy w niedzielną noc. Następnie dodaje, iż nie mogę być pewna ani jednego z jego słów, że do mnie należy wybór. A ja, patrząc mu prosto w oczy, mówię, że umieram z głodu.

Wjeżdża na aleję Piotra I Serbskiego i parkuje przed masywnymi, rzeźbionymi w drewnie drzwiami. Ochroniarz, nieprzyjemny dryblas, kiwa głową na jego widok. Andrea musi być tu zapewne częstym gościem, bo na twarzy tego cerbera rysuje się nieznaczny uśmiech.

Wpuszcza nas. Spelunka. Licha knajpka. Małe pomieszczenie z niskim sufitem, przepełnione średniej klasy mafiosami z upadłymi kurwami u boku. Mam dziwne wrażenie, że jestem w rosyjskiej izbie: boazeria, słowiańskie meble. Gdybym stąd teraz wyszła, na pewno znalazłabym się w uralskim lesie, między stadem wilków i dwoma zbiegami z syberyjskich kopalni. Siadamy przy stoliku, przyglądając się otaczającym nas ludziom.

Ciekawe przypadki. Na ich twarzach maluje się jedynie gorzki grymas. Jakiś grubas z obwisłymi policzkami i dwie kiepsko tlenione dziwki, z piersiami wylewającymi się na talerze, wpatrują się we mnie w osłupieniu. Jedna z nich jest dużo starsza, zmęczona ciężkim życiem, zniszczona. Druga jeszcze tak młoda... Matka i córka? Burdelmama i jej podopieczna?

Leci przygnębiająca muzyka. Przy jednym ze stołów dwóch opryszków w bliżej nieokreślonym wieku sprzecza się o poplamiony plik zagranicznych pieniędzy. Wyzywają się nawzajem po jugosłowiańsku. Jak w jakimś kiepskim filmie. Zamawiam carpaccio i paczkę papierosów. Andrea każe przynieść butelkę wódki. Czy stara się wtopić w klimat? Myślałam, że jest głodny. Nie rozumiem, dlaczego przywiózł mnie w to miejsce. Śmierdzi tu dekadencją. Zaledwie próbuję carpaccio, moje dobre maniery gdzieś się zapodziały. Muzyka cichnie. Co się do cholery dzieje? Jakies porachunki? Zbiorowa orgia? Podnoszę oczy. Na środku lokalu jakiś ohydny Włoch, trzymający dwunastostrunową gitarę, wyciąga dłoń do młodej prostytutki, która się czerwieni. Ona wstaje, a on zaczyna grać i nie wiadomo skąd pojawia się skrzypek, podejmując melodię, za nim następny... Młoda dziwka zaczyna śpiewać. Znam tę rosyjską piosenkę, jest wspaniała. Tych dwoje uzupełnia się nawzajem, ich przeplatające się głosy są nieskończenie wymowne. To miejsce wydaje mi się nagle zupełnie inne. Andrea nalewa mi wódkę. Przenika mnie niespodziewane piękno duetu dwojga nędzarzy, przechodzą mnie ciarki. Wszystko, łącznie ze spróchniałymi krzesłami, nabiera nowego sensu.

Piosenka dobiega końca, mój natchniony wzrok spotyka się ze wzrokiem Włocha. Ten zbliża się do mnie.

– Lubi pani śpiewać?

Kiwam przecząco głową. On jednak nalega. Wszyscy mnie zachęcają, łącznie z Andrea. Jestem przyparta do muru. Jak w jakimś absurdalnym śnie wstaję, biorę do ręki mikrofon. Pytają mnie, czy jestem Francuzką. Proponują kilka tytułów. Jedyńm, jaki znam, jest *Léo Ferré*.

Migoczące światło zniszczonego reflektora mierzy prosto we mnie. Zalega cisza. Jestem w centrum uwagi. Kulę nagie ramiona, trzęsę się. Przeszarżała patetyczność tej tak prawdziwej piosenki perfekcyjnie komponuje się z moim młodocianym upojeniem. Zataczam się w butach od Prady. Przeszczępnę z nogi na nogę. Intonuję zwrotkę:

– *Z czasem... Z czasem wszystko mija, wszystko odchodzi...*

Przybieram tęskny wyraz twarzy, mój głos nabiera melodramatycznej barwy.

– *Z czasem...*

Spoglądam na Andree.

– Wszystko gaśnie...

Patrzy na mnie przenikliwie, a jego wzrok mną wstrząsa.

Udało mi się zapanować nad tajemniczą atmosferą tego miejsca wypełnionego upadłymi estetami. Teraz jestem jedną z nich.

– *Z czasem... przestaje się kochać.*

To już koniec piosenki. Klaskają. Kłaniam się z uśmiechem. Drwiącym uśmiechem. Pod moim własnym adresem.

Siadam ponownie koło Andrei, znów nalewa mi wódkę. Z sąsiednich stolików dochodzą mnie komplementy od ludzi, na których bym nawet nie spojrzała, mijając ich na ulicy. Uśmiecham się jeszcze raz, z wdzięcznością.

A spektakl trwa dalej. Rozmawiam z Andreą i zupełnie nie rozumiem, jaki on ma związek z tymi potwornymi historiami, które mi opowiedziała Victoria.

Gadamy o ulubionych restauracjach w Nowym Jorku, o sztuce. Mówi, że lubi Paryż, że nie mógłby mieszkać nigdzie indziej, chociaż przez jakiś czas mieszkał w Londynie, w Nowym Jorku. Lubi tylko Paryż za jego przewrotną przeszłość, która emanuje z murów i unosi się na ulicach, za światła latarni odbijające się na mokrych chodnikach i za wszystkie te smutne twarze zza szyb kawiarni.

Tłumaczy mi też, dlaczego jego samochód ma właśnie takie dziwne numery rejestracyjne. Paryż, tylko Paryż, precz z prowincją i prostytutkami, tylko my się liczymy.

Przerywam mu i pytam, dlaczego robi te wszystkie okropności dziewczynom, czy jest pedałem, impotentem, a może ma problemy ze swoją matką.

Śmieje się i mówi, że niezła ze mnie suka. Pytam więc, czy mam to wziąć za komplement. Odpowiada, że tak, on sam uważa się za skurwiela, nawet chce, żeby inni go tak postrzegali. Według niego to męski odpowiednik suki, w każdym razie takiej suki, jaką ja jestem lub też jaką gram.

Pytam, jak w takim razie opisałby prawdziwego skurwiela. Mówi, że być skurwielem, to wszelkimi sposobami starać się wkurzać innych ludzi – zajęcie, z którego on uczynił sztukę życia. Później tłumaczy, iż populacja ludzka złożona jest w 99 procentach z imbecylów, którzy są poważni, nadęci dobrobytem i skrywanym egoizmem, i że nic nie sprawia mu tyle przyjemności, jak wkurwiać tych kretynów i robić ich na szaro. Pytam więc, w jaki sposób, mówi, że wystarczy zdystansować się do siebie, okazywać tumiwizizm przy każdym doświadczeniu, kpić sobie z wartości takich jak pieniądze, status społeczny, poprawność polityczna, że należy zgłębiać tematy tabu, wyciągać na światło dzienne to, co się ukrywa, to, co inni ukrywają, i być bezwstydnym.

– I uwielbiam prześladować kretyнки, te głupie laski bez znaczenia, którym się wydaje, że wszystko im się należy, bo są ładniutki. Daję im tylko do zrozumienia, że świat nie kręci się wokół nich.

Jestem zachwycona, mam wrażenie, jakbym słuchała samej siebie. Nigdy z nikim nie odczuwałam takiego porozumienia. Dookoła nas jest już pusto, nikt nie śpiewa, obawiam się chwili, kiedy trzeba będzie już iść, i Andrea pochyla się w moją stronę, a ja chcę tylko jednego – żeby pozwolił mi odejść... Odruchowo cofam się, mój instynkt, instynkt olewania wszystkiego, bierze górę, uchylam się, łapię moją torebkę:

– Muszę już iść, dzięki za kolację.

Trochę go to zbija z tropu. Uśmiecha się jednak i mówi:

– Nie ma za co, do zobaczenia wkrótce.

Wychodzę z Calavadosu, wciągam wielki haust powietrza i wydycham cienką chmurę szarego dymu... Idę w kierunku alei Jerzego V, żeby złapać taksówkę. Zatrzymuję się przed jego samochodem... 750NLY75, uśmiecham się. Zaczynam tańczyć na środku ulicy, podskakuję, nie jest mi zimno, moje serce bije jak oszalałe, a to jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło.

Rozdział 6

„Przedwcześnie pozbawiona złudzeń rzygam na sztuczność uczuć.

To, co nazywamy miłością, jest tylko alibi dla związku zboczeńca z dziwką, różowym woalem przykrywającym przerażającą twarz nieuniknionej Samotności.

Otoczyłam się skorupą cynizmu, moje serce jest wytrzebione, uciekam przed okropną Zależnością, szyderstwem powszechnej Ułudy; Eros w swoim kołczanie ukrywa kosę.

Miłość to wszystko, co zdołaliśmy znaleźć, żeby pokonać depresję pokopulacyjną, żeby usprawiedliwić nierząd, wzmocnić orgazm. To kwintesencja Piękna, Dobra i Prawdy, która nadaje nowy kształt twojej parszywej gębie, która uwzniośla twoją płytką egzystencję.

A ja, ja odmawiam.

Wyznaję i wychwalam światowy hedonizm, a on mnie ochrania. Ochrania mnie przed karykaturalną euforią tego wszystkiego: pierwszy pocałunek, pierwszy telefon, odsłuchiwanie dwanaście razy tej samej krótkiej wiadomości, wyjście na kawę, na drinka (wspomnienia z dzieciństwa, wspólni przyjaciele, wakacje na Wybrzeżu), później kolacja (ulubieni pisarze, ból egzystencjalny, pytania: dlaczego należy imprezować co wieczór), pierwsza noc, po której jest wiele innych; potem już nic nie mieć sobie do powiedzenia, pieprzyć się, żeby wypełnić pustkę, nie mieć już nawet ochoty na pieprzenie się, rozstawać się, ale jednak zostać razem, wyzywać się, godzimy się ze świadomością, że to już i tak koniec, pieprzyć się z kimś innym, i nic więcej.

Cierpieć...”

Rozdział 7

Kolejny trudny poranek. Przez dziesięć minut przeklinam wszystkie te bezsenne noce, wszystkie te zbędne kieliszki, te papierosy, na które nie miałam ochoty, te działki koki, które niczemu nie służyły, i podejmuję decyzję już nigdy nie wychodzić, skończyć z pićciem, paleniem i chodzeniem spać nad ranem, będę jadać wyłącznie sushi i świeże owoce.

Zapalam papierosa i włączam wieżę, mam ciągle zamknięte oczy. Nagle przypominam sobie o najgorszym.

Obiad z rodzicami. Za godzinę. Dlaczego ja i dlaczego dzisiaj? Trzeba się zwlec do łazienki i wziąć ciepły prysznic, który wcale nie ulży mojemu bólowi czaszki, wypić szklanek wody, połknąć trzy aspiryny, włączyć płytę Boba Sinclara, żeby się trochę rozruszać (bezsukutecznie) i zrobić wszystko, żeby się jakoś prezentować. Jakby nie było, jem obiad z tymi, którzy trzymają kasę i zamierzam ich poinformować, że w roku szkolnym 2000/2001 chcę nadal mieć urlop od nauki.

Suszenie włosów, produkty Nickel (niezbędne po imprezie), daremne nakładanie tapety, po dokładnym obejrzeniu się w lustrze znajdującym się przy oknie, postanawiam założyć dziś ciemne okulary i siedzieć w nich przez cały obiad.

Cholera, grafik na dzisiaj mam bardzo napięty: depilacja u Carity, czyszczenie twarzy, manicure; chciałam jeszcze pójść do solarium, w dodatku obiecałam Sybilli iść z nią kupić kokę, bo ona boi się sama spotkać z dealerem. Zadzwoń do Carity i umierającym głosem odwołać wizytę, spławić Sybillę do jutra.

Co do solarium, to się jeszcze zobaczy. Jeżeli będę mieć siłę.

Wciążam sprane dzinsy od Chloé, posrebrzane buty Nike, tkany biały sweter od Paule Ka i okulary od Gucciego. Biorę torbę na ramię z monogramem od Vuitton, do której wrzucam leki, gazetę „Voici”, kosmetyki, notatnik, etui na okulary i wybiegam, bo mam już czterdzieści pięć minut spóźnienia.

Łapię taksówkę i lecę jak błyskawica do Murat, gdzie czekają na pewno cokolwiek zniecierpliwieni rodzice.

– Dopiero co przyszedliśmy... umówiliśmy się z tobą na trzynastą, więc stwierdziliśmy, że gdy przyjdziemy za piętnaście druga, to będziemy mieli przyjemność czekać na ciebie tylko dziesięć minut.

Raczej padam na krzesło, niż na nie siadam. Nie jestem w stanie należycie odciąć się na tego typu uwagi. Moje myśli błądzą gdzieś od alei Montaigne'a aż do Calavadosa, a swoją uwagę skupiam tylko na tablicach rejestracyjnych czarnych porsche przejeżdżających za szybą...

– ...zacząć ten rok trochę poważniej, miałaś już sześć miesięcy wakacji. To o trzy za dużo. Nie zapomnij, że chodzi tu o twoją przyszłość. Możesz zdjąć okulary słoneczne, kiedy do ciebie mówię?

Przecząco potrząsam głową.

Złożyliśmy właśnie zamówienie, a ja proszę o papierosy, na samą myśl o jedzeniu mam ochotę wymiotować, ale jeśli nic nie wezmę, to matka jeszcze pomyśli, że jestem anorektyczką.

Zamawiam zupę z krewetek, napój cytrynowy i tłumaczę ojcu, że w tym roku stanowczo nie zamierzam nic robić, że matura mnie wykończyła i że wyleciałabym z każdej szkoły przez nieobecności oraz że nie działałabym nic na uniwersytecie, bo nie ma tam żadnego nadzoru. Jest tam też za dużo palantów, a system szkolnictwa mi nie odpowiada, że w sumie to żaden system mi nie odpowiada, że trzeba, bym wreszcie odczuła, co to znaczy nic nie robić i objąć się, żeby naprawdę mieć ochotę do działania i że to się okaże korzystne na dłuższą metę i że nic, nic nie wpłynie na zmianę mojego zdania.

Ojciec jest przybity, protestuje. Niech protestuje.

Nie jem, mama niepokoi się i następuje to, czego się obawiałam: zaczyna swoją śpiewkę.

– Nic nie jesz, jesteś chora? Nie przestajesz pociągać nosem, musisz być zakatarzona, powinnaś pójść do lekarza. Chcesz, żebym umówiła cię na wizytę? Zważywszy na tryb życia, jaki prowadzisz, nie potrzebujesz lekarza, tylko kogoś, kto zabroniłby ci wychodzić, no i widziałaś swoje podkrążone oczy, chudniesz w zastraszającym tempie, jesteś wiecznie rozkojarzona, mam nadzieję, że nie jesteś anorektyczką?

– Nie, to narkotyki.

– Uważasz, że jesteś zabawna?

Zapalam czwartego papierosa i wypijam całą szklanekę wody, drapie mnie w gardle.

Właśnie w tej chwili spostrzegam, że siedzimy przy czteroosobowym stoliku, bo obok mnie jest wolne krzesło. Dla kogo jest ono przeznaczone???

Obawiam się najgorszego i to najgorsze właśnie nadciąga. Catherine wchodzi do lokalu. Podaje swój płaszcz od Burberry's recepcjonistce. Catherine to najlepsza przyjaciółka matki, a nienawiść, jaką do niej żywię, jest wprost proporcjonalna do niewytłumaczalnej

sympatii, jaką darzy ją mama. Kolejne wcielenie Amandy Woodward, która nie zrozumiała, że styl „executive woman” skończył się wraz z latami osiemdziesiątymi. Ma na koncie nieudane małżeństwo, rozwód, bezdzietna, i przenosi na mnie, przenosi... Znoszę jej obecność od osiemnastu lat na wszystkich obiadach, podczas wakacji, psuje mi każde urodziny i w dodatku to z jej powodu nie mam prawa poddać się zabiegowi odsysania tkanki tłuszczowej. Nie cierpię jej!

Siada obok mnie, mówi do mnie, zanudza mnie, nie jestem w stanie tego wytrzymać... więc jestem niemiła. No i wybucha burza, rodzice dają w końcu upust swojej skrywanej hysterii (zazwyczaj są na to zbyt dobrze wychowani, ale dziś zabrakło mi podstawowej uprzejmości, i powiedziałam do mojej prawie drugiej mamy, żeby mi nie truła, bardzo ją proszę). Boli mnie głowa, wolę znosić to w ciszy, w pewnym momencie jednak staje się to nie do zniesienia, podnoszę głos i krzyczę:

– Więc tak, przestańcie łączyć na moje utrzymanie, zostanę prostytutką, żeby mieć na własne potrzeby, a wy w końcu będziecie zadowoleni!

Rodzice, śmiertelnie zawstydzeni przed gośćmi w restauracji, że poczęli taką wariatkę, wreszcie milkną, a ja mogę sobie w spokoju zapalić papierosa.

Niestety, tę małą kłótnię zainspirowała Catherine do przećwiczenia swoich domniemanych umiejętności kiepskiego psychoanalityka. Wypytuje mnie bez przerwy, nie słucha nawet moich jednosylabowych odpowiedzi, częstuje się moimi papierosami, a ja czuję wzrastające oburzenie, powstrzymuję się, powstrzymuję się... w końcu to ona podarowała mi na Boże Narodzenie torbę od Gucciego...

No i gotowe. Czepia się moich relacji z facetami: „Przypominasz sobie w *Pretty Woman*, Vivian, którą nazywano magnesem na nieudaczników?”. I co więcej, przytacza mi swój własny przykład... Mówi mi o moim ojcu... Skręca mnie. Potrzebuję papierosa, ale jej krwiście czerwone paznokcie ściskają już ostatniego, tego już za wiele...

– Słuchaj, Catherine, od czasu gdy ty i tobie podobni czytaliście Freuda, macie skrzywioną wizję i spaczony podejście do życia. Najmniejszy tępy przedmiot jest dla was symbolem fallusa, najmniejszy sportowy samochód jest jego substytutem, a całe ludzkie plemię „myśli tylko o tym”. Bo to Freud, ten stary zboczeniec, myślał tylko o tym. Analizować siebie to ostatnie *must-have*, analizować innych to ostatnie trucie. Mam już dosyć tego, że wciskasz mi swoim wymądrzałym tonem, iż jestem ofiarą jakiegoś „kompleksu Edypa”. Przede wszystkim jestem dziewczyną, a nie chłopakiem, więc jeśli mam jakiś kompleks, to Elektry, nie Edypa, szanowni państwo psychologowie na praktyce. Ach, jestem zakochana w moim ojcu i chętnie bym się z nim przespała, gdyby nie był moim ojcem? Skoro

tu jesteś, to poradź mi, jak zwędzić mu kluczyki od jaguara, potrącić go tym cudownym samochodem, jeździć po nim aż do zmiążdżenia mu jaj, a później, zaopatrzona w jego spermę – wynik tego miażdżenia – i falliczną siłę reprezentowaną przez super furę, mogłabym teoretycznie zgwałcić matkę, aż do prokreacji tej pieprzonej Antygony. Ojcobójstwo, kazirodztwo, lesbijstwo, wreszcie wyraziłabym swoje wszystkie stłumione wizje senne i co więcej, byłabym szczęśliwą mamą młodszej siostry. Tak, właśnie.

W tym momencie dzwoni moja komórka – wybawienie. To numer zastrzeżony, więc mówię: „halo” pytającym głosem, ale już wiem, kto jest po drugiej stronie.

– Gdzie jesteś?

– Murat. Rodzice. Koniec obiadu.

– Przyjadę po ciebie za pięć minut.

Zbieram swoje rzeczy i wychodzę bez pożegnania.

Na zewnątrz jest zimno, wiatr smaga mi twarz, a ja po prostu jestem szczęśliwa, czekając na niego. Zatrzymuje się na drugim pasie, wsiadam do jego auta.

– Na co masz ochotę?

Zazwyczaj wysilam wyobraźnię, ale w tej sytuacji jestem zaskoczona i moje „na to, co ty” okazuje się naprawdę żalosne.

– Na to co ja? Na wszystko, na co ja mam ochotę?

– Oczywiście, że nie.

– Tego się właśnie obawiałem. Trudno, jeśli nie możemy się pieprzyć, to zajmijmy się czymś innym. To okrutne, ty już zjadłaś obiad, a ja umieram z głodu.

– Nic nie zjadłam.

– Więc chodźmy na obiad. Co byś chciała?

– Coś włoskiego.

Jedzie obwodnicą, mija Porte Maillot, co on robi? Dalej już nic nie ma! Myślałam, że mnie zabierze do Relais du Boccador albo do Carpaccio du Rogal Monceau. Zbliżyliśmy się do granicy Paryża, Andrea włączył muzykę, nie można do niego teraz powiedzieć ani słowa, dociskamy do 200 km/godz., samochody usuwają się z lewego pasa, jakbyśmy wywoływali w nich strach, pozwalam się unosić szybkości, wszystko mi jedno, mógłby mnie teraz zawieźć byle gdzie. Wyjeżdża na autostradę, ale skręca w Bourget i nagle zaczynam rozumieć.

Wylcieliśmy do Monaco samolotem Falcon 50. Wylądowaliśmy w Nicei, gdzie wyszedł po nas szofer jego wujka, żeby nas zawieźć do Rampoldi, spędziliśmy cztery godziny przy stole, popijając amarretto. Zupełnie nie wiem, kiedy ten czas minął, nie zauważyłam nawet, że nadeszła już noc, liczyliśmy się tylko my, byłam tym zafascynowana.

Odlecieliśmy samolotem 600. Najpierw nie chciałam go nawet przytulić. Później, gdzieś tam w górze, usnęłam w jego ramionach.

Około północy odstawił mnie do domu.

Następnego dnia pojechaliśmy na narty do Saint-Moritz, nazajutrz cały dzień czekałam na telefon od niego. Nie dał mi swojego numeru, żeby mieć nade mną przewagę, zadreślałam się tak do późnego wieczoru. Przyszedł o dziesiątej, żeby mnie zabrać do kasyna w Deauville, gdzie lekką ręką przegraliśmy pięćdziesiąt tysięcy, we czwartek pojechaliśmy na zakupy do Mediolanu, później znów na Lazurowe Wybrzeże, wreszcie obiad na jachcie jego wujka, na pełnym morzu, naprzeciw Saint-Tropez. Dni mijały, rozumieliśmy się coraz lepiej, ale wraz z upływem czasu wzrastał mój opór. Ciągle nie chciałam ulec... On dalece niewzruszony pozostawał wciąż spokojny, pewny siebie, błyszczał pomysłami, sypał historyjkami. Moje odmowy go bawiły, a to mnie wkurzało.

Cały tydzień objeżdżaliśmy europejskie miasta, zapominając o najpiękniejszym. Sobota wieczór, odpoczywamy: żadnych samolotów, niespodziewanych wyjazdów. Kolacja w Maison Blanche: turbot i zbyt dużo białego wina, później przez wiele godzin jeździmy po Paryżu, z dzielnicy VIII do Panteonu, z Père Lachaise aż do Montmartre, a przed Sacré-Coeur wysiadamy z samochodu, żeby podziwiać widok.

W drodze powrotnej, gdy przejeżdżamy przez Luwr, duszę się. Mam nagłą ochotę przejść się po ogrodach Carrousel. Dyskutujemy o naszym wykojejonym dzieciństwie, wino uderzyło mi do głowy i jestem w takim stanie ducha, że nie cierpię wszystkiego. Idę, drżąc, z błądzącym po bruku spojrzeniem i myślę na głos:

– Żyjemy... jak krety, jemy, śpimy, pieprzymy się, imprezujemy. Ciągle i ciągle... Każdy dzień jest nieświadomym powtórzeniem poprzedniego: jemy coś innego, śpimy lepiej lub gorzej, pieprzymy się z kimś innym, wychodzimy gdzieś indziej. A jednak wszystko jest podobne do siebie, bez celu, bez znaczenia. Robimy dalej to samo, wyznaczamy sobie jakieś sztuczne cele. Władza. Kasa. Dzieciaki. Wypruwamy sobie żyły, żeby to osiągnąć. Albo nigdy tego nie osiągamy i jesteśmy sfrustrowani na wieki, albo się nam udaje, a wtedy zdajemy sobie sprawę, że tak naprawdę mamy to gdzieś. A później zdychamy. I koło się zamyka. Kiedy zdajemy sobie z tego sprawę, mamy tylko ochotę natychmiast zamknąć to koło, żeby nie walczyć na próżno, żeby pokonać fatum, żeby wyjść z pułapki. Ale boimy się. Nieznanego. Najgorszego. Poza tym, czy tego chcemy czy nie, zawsze na coś czekamy. Gdyby nie to, odpuścilibyśmy sobie, połknęlibyśmy całe opakowanie leków, przycisnęlibyśmy ostrze żyłki, aż tryśnie krew... Próbuje się rozerwać, szukamy miłości, wydaje nam się, że ją znaleźliśmy, a później znów spadamy w dół. I to z wysoka. Usiłujemy

igrać z życiem, żeby się przekonać, że je kontrolujemy. Jeździmy za szybko, unikając cudem wypadków. Bierzymy za dużo koki, jesteśmy bliscy przedawkowania. To wywołuje w rodzicach strach. Progenitura bankowców, dyrektorów i biznesmenów zdegenerowana do takiego stopnia; aż trudno w to uwierzyć. Są tacy rodzice, którzy próbują coś robić, inni się wycofują. Są też tacy, których nigdy nie ma, którzy nigdy nic nie mówią, ale którzy podpisują czek na koniec miesiąca. I tych się nie cierpi, bo dają aż tyle i tylko tyle. Tyle że można použíwać, a zbyt mało tego, co naprawdę się liczy. I w końcu, nie wiemy już, co się liczy. Granice się zacierają. Jesteśmy jak wolne elektrony. Zamiast mózgu mamy kartę kredytową, zamiast nosa – odkurzacz, i nic na miejscu serca. Częściej chodzimy do klubów niż na wykłady, mamy więcej domów niż prawdziwych przyjaciół, a dwieście numerów w spisie telefonu, pod które nigdy nie dzwonimy. Jesteśmy złotą młodzieżą. I nie mamy prawa, żeby się na to skarżyć, bo wydaje się, że posiadamy wszystko, by być szczęśliwymi. I zdychamy powoli, napchani kokainą i antydeprechami, z uśmiechem na ustach, w zbyt dużych mieszkaniach, wpatrzeni w kryształowe żyrandole zamiast w niebo...

Nie odpowiada, zarzuca mi na ramiona swój płaszcz i przytula mnie. Całuje w czoło.

Po policzku cieknie mi łza, za nią następna. Nie mogę już ich powstrzymać, zbyt wiele różnych emocji gotowało się we mnie i teraz wyłażą, a ja nie mogę nic zrobić. Zbyt doświadczona, a zbyt młoda i samotna. Nie zasługuję, by się mną zajmowano. Nie rozumiem. Nie potrzebuję nikogo.

Szukamy miłości, wydaje nam się, że ją znaleźliśmy, a później znów spadamy w dół. I to z wysoka. Lepiej czasem spaść, niż nigdy się nie unieść? Robisz ze swojego życia Drogę krzyżową. Błagalne twarze, samotność, brudne ręce, płaczące dziecko, noc, bezsens... Bezsens zależy od punktu widzenia. Ramiona obejmują mnie i unicestwiają moją rozpacz. Czuję pieśczoć na włosach, na piekących oczach, na zalanych łzami policzkach i ustach. Już nie wiem, dlaczego płakałam. Już nie płaczę. Naprawdę już nie? Łzy ciągle płyną, ale to dlatego, że nie mogę ich zatrzymać. Jest mi tak dobrze. Nadzieja odradza się na dnię rozpaczy. Ponownie tylko złudzenie.

Być może to są łzy szczęścia...

Nie wiem.

Rozdział 8

Co by można powiedzieć o szczęściu? Nic. Wszystkich ono wpieprza. Szczęście jednych jest nieszczęściem drugich. Stajesz się zazdrosny, małostkowy. Dlaczego to tak miałyby działać na nas, a na was nie? Mam nie opisywać mojego głupawego uśmiechu? Bo o uśmiechu, zwłaszcza tak głupawym, się nie opowiada?

Nie będę ci zdawać relacji z czułych głupot, które się opowiada przez całe noce, ani tego, w jaki sposób przekładał kosmyk moich włosów za ucho, ani słodczy jego policzka przy moim, ani jego spojrzenia zatopionego w moim...

Widzisz, szybko popadam w banały.

Policzek przy policzku, patrzenie sobie w oczy, złączone dłonie... Jak się głupieje, gdy się kocha! Stajemy się głupawi, cikliwi, sentymentalni, bierni, niewydajni, egoistyczni, ślepi i głusi! Spaceruję ulicami Paryża jak szczęśliwa osoba autystyczna, nie myśląc wcale o tym, czy wywołuję przerażenie w otoczeniu, które dla mnie już nie istnieje, czy w przechodniach, których nawet nie widzę. Liczy się tylko zdanie Andrei. Jego twarz jest dokładną kopią mojej, błogość i uśmiech od ucha do ucha. Gdyby z jego ust wyszła teraz jakakolwiek krytyka, byłoby to zaskakujące.

Sześć miesięcy szczęścia. Dzielonego wspólnie. Nieskładne wspomnienia i to uczucie w żołądku, gdy je sobie przypominam... Splot śmiechów, nóg, dymu papierosowego... wymieszane zapachy Dolce & Gabbana i Allure... melancholijny fragment melodii na fortepian... zima, później wiosna... moje dłonie zaciśnięte na jego skórze... jego głos, na którego punkcie wariuję... jaśniejąca ciemność panująca w pokoju, gdy śpię w jego ramionach... gorączka, która nas pobudza, te egzaltowane dyskusje i niekończące się pieszczoty... wiecznie niezaspokojone pożądanie... całkowite zapomnienie o tym nic nieznaczącym świecie... tylko on... tylko ja... nasze ciała splątane... zharmonizowane śmiechy... Tarzamy się po podłodze w tumanie wirujących piór z poduszki rozdartej przez nasze wariactwa... dla zabawy osuwam się, oddaję i padam na plecy... moje nagie nogi w powietrzu... Po rozkoszy wzajemne zrozumienie... zatapiam spojrzenie w jego jasnych oczach... oddaję szyję jego pożądlivym ustom... zapalam papierosa, którego wspólnie wypalamy... niczego więcej już nie chcę... niczego się nie obawiam... doskonale nasycenie ciała ciałem... serca sercem... ukołysane ekstatyczną muzyką miłosnych słów przeznaczonych

dla mnie... Cudowne zmęczenie, które zatrzymuje na kilka chwil radość namiętności... dwie wyczerpane istoty leżą obok siebie... w ciszy... i radują się z bycia razem...

On niedbale bawiący się moimi długimi włosami, rozsypanymi na poduszce... ja błędząca palcami wzdłuż jego pleców... i spokojna moc jego wyciągniętego ciała, którego sam dotyk pali moją skórę i duszę... nie, niczego się nie boję, kiedy jestem w jego ramionach... niczego... mój oddech staje się echem bicia jego serca, moje ciało odbiciem jego ciała, jego nogi oplatają mnie nierozzerwalnym łańcuchem... patrzę, jak śpi, a cień jego rzes na nie ogolonym policzku, dziecięcy wyraz twarzy i opuszczona ręka budzą we mnie niesamowite pożądanie...

Ja, która uciekałam od miłości i jednocześnie ją piętnowałam. Tak było, gdy nie liczyło się istnienie Andrei. Jesteśmy jedną duszą w dwóch ciałach, a kiedy te ciała się łączą, to jesteśmy już tylko jednym. Przez sześć miesięcy nie wychodziłam wieczorami. Nic nie piłam, nic nie brałam. Niczego mi nie brakowało. Nasycalam się, pozerając jego ciało. Moją potrzebę rozpusty trawił ogień jego oczu.

Życ miłością, wodą mineralną Evian i malboro light'ami.

I wierzyć, że to wystarczy.

To nie wystarczyło.

Byliśmy dla siebie jedyną deską ratunku. Poręczą odgradzającą od przepaści.

Bardzo szybko zrozumiałam, że jego myśli są odzwierciedleniem moich i gdyby usiłował zwalczać moje przekonania, to tylko po to, by wykorzenić jakiś ból egzystencjalny podobny do tego, przez który on sam cierpiał i którego zgubnych skutków chciał mi zaoszczędzić. Pobożne kłamstwa... Kogo chciał oszukać? To, że byliśmy razem, unicestwiała nasze wspólne cierpienia, a choć do głębi zraniona i teoretycznie oddana spleenowi na wieki, stwierdzałam z zaskoczeniem, że czuję się szczęśliwa. Powoli nasza rozpacz wydająca się być nie do przewyciężenia zapadała w letarg... Po pół roku staliśmy się prawie „normalni”. Gdyby to mogło być prawdą...

Pół roku szczęścia? Nie. Pół roku zawieszenia...

Przejmujący lament zaczął znów we mnie narastać, potem warczeć, potem wyć... jak tylko obniżyłam czujność. Jak przedtem.

Właśnie wyszliśmy na kolację. Było to jedno z tych kretyńskich miejsc odwiedzanych przede wszystkim przez singli, pary zapuszczały się tam głównie po to, by napawać się pogromem urażonych min, jaki wywołuje widok ich – wytworzonego na pokaz – wspólnego szczęścia. Porozbierane blond ładacznice, których nogi wypływają spod kupionych za usługi, szeleszczących sukien, obzerają się i obserwują się wzajemnie pośród metalicznego brzęku

kieliszków i potracanych o siebie sztuców, pośród sączącej się w tle, nadającej klimat muzyczki i ich krystalicznych, ostrych, szkalujących głosów.

Ulica Saint-Honoré 239, hotel Costes lub jedno z tych miejsc, w których w końcu lądujesz, nie wiedząc, gdzie pójść na kolację. A my, my po prostu chcieliśmy uniknąć zamknięcia. Potrzebowaliśmy powietrza. Ale nie powinniśmy byli przenosić naszej empatii do tej zepsutej atmosfery. Oboje mieliśmy to aż zanadto przerobione.

Patrzę obojętnie, jak panienki podchodzą do nas, perorują i lamentują nad jego zniknięciem. Cynthia, Isolda i Tatiana zwracają się do mnie z drwiącymi uśmiechami, podniesioną brwią, włosami opadającymi na oczy i odchodzą, kręcąc dupami, wciśnięte w skórzane i wężowe ciuchy, uczone torebek od Fendi, jak gdyby to od nich zależała ich równowaga. Gratuluję Andrei zażyłości z tyloma światowymi kobietami. On mi odpowiada, że nawet się z nimi nie pieprzył. Wcale mnie to nie bawi.

Nalewam sobie.

Spoglądam dokoła i od razu dostrzegam wszystkich. B. jest w podkoszulku od Corinne Cobson i w towarzystwie rasowej prostytutki. Przychodzą Benji Szaleniec, Julian i Chris, każdy też ze swoją dupą przy boku. Siadają obok B.

Dokładnie naprzeciw mnie, z drugiej strony tarasu. Vittorio wlewa mineralną do kieliszka Sybilli, która uparcie mnie ignoruje, a ja rozpoznałam ją tylko po wycięciu na plecach w sukience od Valentino. Razem ją kupowałyśmy. Mówi się, że odblokowała spadek po swojej matce, żeby Vittorio mógł założyć jakiś tam biznes. Casandra nie rozmawia ze mną od czasu, jak zaczęłam chodzić z Andream, twierdząc, że jestem „niezrównowazona”. Udało się jej do tego samego przekonać Sybillę.

W tej chwili Casandra spostrzega mnie, zsuwa na nos swoje Gucci i poraża mnie spojrzeniem.

Wszyscy mają zamglone oczy, już teraz, o jedenastej wieczorem. Ich dance macabre między tarasem a toaletą przypomina mi mój dawno temu.

Nalewam sobie.

Mój promienny nastrój ostatnich miesięcy znika. Piję więcej, niż powinnam. Moje odbicie w szklance daje mi wrażenie, że powoli się rozmywa, jak obraz, który oblanie kwasem. Włosy mi się skręcają, oczy niezdrowo błyszczą, policzki płoną, ręce się trzęsą, a w nieświadomej głowie rodzą się same okrutne myśli. Powoli na nowo ogarnia mnie mój dawny, zły duch.

Nalewam sobie.

Dyskutujemy, ale brzmi to na wskroś fałszywie. Rozpaczliwy pozór wzajemnego, doskonałego zrozumienia, które jest już tylko wspomnieniem. Mówimy o innych, szczęście, że są ci inni... Andrea opowiada mi, że ten black, który podszedł przywitać się z nim na początku kolacji, jest synem prezydenta afrykańskiego państewka, i nosił złotego (sic!) rolexa, kiedy byli w Roches, i płakał każdej nocy, bo jego room mate, syn prezydenta sąsiedniego państewka miał rolexa ze złota i diamentów, a że Vittorio siedział w kiciu, a jego ojciec jest kwiaciarzem i że Juliana wywalono z Bristolu bo za bardzo rozrabiał. Co do Chrisa, pobił faceta przed Keur Samba przed dwoma laty, bo był naćpany, ale jego ojciec uciszył tę sprawę. A wreszcie, że ojciec mojej najlepszej eksprzyjaciółki, Cassandry, sprzedaje broń. I jak twierdzi jego ojciec, wkrótce będzie oskarżony, ale to wszystko jest mało ciekawe. Przerwywam mu i serwuję opowieść o moich najgorszych wybrykach z przeszłości. Ruchem głowy wskazuję moich dawnych kompanów rozpusty... Ten, tam, mnie pieprzył. I ten, i tamten, i tamten... Żalodne imprezki, orgietki od dziesiątej rano i dziesięciogramowe dawki koki; wyolbrzymiam, prawie wymyślam. On pozostaje niewzruszony. Kończy butelkę i zamawia następną. Gdy przychodzi czas na kawę, jestem już śmiertelnie zalana. Z nim nie jest lepiej, ale trzyma klasę. Duszę się, potrzebuję powietrza. Wstaję, chwiejąc się. Pod tryumfującym uśmiechem ukrywam narastające złe samopoczucie. Z podniesioną głową przemierzam przepelnioną salę i nikt nawet nie podejrzewa, że zaraz mogę zwalić się z nóg. Sukienkę mam zbyt krótką, obcasy zbyt wysokie. Zmierzam w stronę toalet:

– Hell! Jak leci, w porządku?

To A.

– Dobrze, a u ciebie?

– Będzie dziesięć lat, jak się nie widzieliśmy.

– Tak, przez ostatnie pół roku byłam trochę nieobecna.

– Wydaje się, że zaszyłaś się z tym gościem, co jeździ GT3, i mieszka przy alei Foche'a, Andrea? Tak?

– Tak.

– Ile to czasu?

– Pół roku.

– To wszystko tłumaczy.

– Rzeczywiście.

– Wychodzicie gdzieś, później?

– Nie, nie sądzę, nie jestem zbyt w formie...

– Zawsze miałaś jakieś lekarstwo na brak formy...

– Ale teraz go nie mam.

– Trzymaj.

Wsuwa mi paczuszkę z koką.

– Dzięki. Nie czekaj na mnie, odniosę ci potem do stolika. Przywitam się też z resztą ludzi.

Wchodzę do toalety ozdobionej na styl luksusowego hotelu na godziny. Przepychają się tam bez przerwy całe chmary dziwek, które usiłują polepszyć swój wygląd, naciągając przedwczesne zmarszczki i spryskując je obficie Terracotta o wysokim stopniu UV. Zwykle to tam, w toalecie, można dostrzec oszukaństwo: zawartość torebki nie jest markowa, bez mrugnięcia okiem wyjmują z niej tusz do rzęs i szminkę z supermarketu... Przepraszam, chciałam wziąć kokę, dzięki. Zamykam się w kabinie i drżącymi rękoma wyjmuję paczuszkę z kieszonki mojej torebki od Vuittona. W jednej chwili ozywają dawne echa, a moja karta kredytowa odzyskuje swoją dawną użyteczność. Starannie kruszę kryształki koki na muszli klozetowej. Gorączkowo zwijam dwustufrankowy banknot w rurkę. Przyklękam i przyglądam się pięciu usypanym ścieżkom. Wciągam... Pierwszą. Drugą. Euforia wzrasta. Robię przerwę. Trzecia. Czwarta. Piąta... Dlaczego nie robiłam tego przez sześć miesięcy? Namiastka szczęścia: 600 franków za gram. Podnoszę się i drżąc, walę czołem o ścianę. Nic nie czuję.

Gwałtownie otwieram drzwi, które uderzają o inne. W sprzyjającym świetle lustro wysyła mi obraz urody diabelskiej, na łuku brwiowym lśni kropla krwi. Wracam, żeby stawić czoło moim demonom. Mój chód jest pewny. Z łatwością przedzieram się przez salę. Mam wrażenie, że budzę się z długiego snu. Zwracam kokę A., o pół grama mniej... Mówię mu o tym trochę zmieszana, on, przeciwnie, nie mówi nic. Obchodzę stolik i witam się z wszystkimi tymi brudnymi facetami Nocy, tymi ekskumplami od nędznych imprezek, od wspomnień ich zielonkawych, trudnych do rozpoznania gęb, od niewyraźnych i niespójnych bełkotów, od przerywanych płaczem stosunków. I czuję się z nimi związana.

Wracam do mojego stolika, ale moje miejsce jest już zajęte. Andrea najniewinniej w świecie rozmawia z koleżanką swojej siostry, która sądzi, że jej zażyłość z rodziną upoważnia ją do posadzenia swojej dupy na mojej różowej chuście. Staję przed stolikiem i wyjmuję papierosa z paczki, którą tam zostawiłam, zapalam go, ostentacyjnie trzaskając zapalniczką Dupont i nerwowym gestem głęboko się zaciągam.

– Dobry wieczór – mówię, wypuszczając dym.

– Och, dobry wieczór, przepraszam, minęło wiele czasu, odkąd nie widziałam Andrei, więc usiadłam na chwilę na twoim miejscu – bąka, otwierając duże, niebieskie, przezroczyście oczy.

– Jeżeli podoba ci się moje miejsce, to możesz na nim zostać.

Andrea uśmiecha się, ale jest zaniepokojony.

– Ona żartuje.

Wstaje.

– Co cię ugryzło, nie będziesz się chyba wściekać, że koleżanka Gabrielli usiadła na sekundę na twoim miejscu?

– W każdym razie to nie jest tak naprawdę moje miejsce.

– Co ty jesteś taka nabuzowana, brałaś coś?

– Tak, kochanie. Pół grama, kochanie. I co z tego?

Chciałabym, żeby się zdenerwował, żeby choć na chwilę stracił to panowanie nad sobą, którego nie mogę znieść. Zamiast tego patrzy na mnie prawie z pogardą i przeprosza za mnie tę idiotkę, która wrosła jak kamień, patrząc, jak się kłócimy, i nie śmie odejść bez pożegnania.

Biorę moją chustę. Andrea podtrzymuje mnie za ramię.

– Gdzie idziesz?

– Mam ochotę wyjść. Idę do Cabaretu.

– Świetnie. Idę z tobą.

Płaci. Spadamy.

Podaje mi rękę. Prawie mnie niesie. Uchylam szybę, świeże powietrze dobrze mi robi. Cofam siedzenie i wyciągam nogi. Zaczynam śpiewać na całe gardło i śmiać się, śmiać się bardzo głośno. Robię przy tym niesamowite miny. On także nie może się powstrzymać od śmiechu.

Wyjmuję nie dopitą butelkę szampana, którą wyniosłam pod chustą. Pociągam z gwinta jak ostatnia pijaczka i namawiam go do tego samego. Pije posłusznie. Mamy dumne miny... Kończy butelkę i wyrzuca ją przez okno na plac Concorde, gdzie pęka z apokaliptycznym brzękiem. Upadłam się dla przyjemności i ciągnę go ze sobą na dno.

Dojeżdżamy przed klub idiotycznie i pretensjonalnie. Wrzuca kluczyki od wozu parkingowemu z wystarczającą zarozumiałością i swobodą. Ten wita się z Andream wylewnie, niemal rzuca mu się na szyję. Chcąc ukrócić to wzruszające spotkanie po latach, przybieram śmieszna, władczą pozę zagranicznej dziwki i wydaję mu rozkaz, żeby już szedł.

– Kochanie, pospiesz się, tak!

Rozpoczyna się skrzypiąca komedia powitań. Tym bardziej że mija pół roku, jak się nie pokazywaliśmy. Tylu osobom, których dawno nie widziałam, trzeba będzie tłumaczyć, gdzie jadałam kolacje, co się ze mną działo przez ten czas, co robiłam, czy wyjeżdżam tego

lata do Saint-Tropez czy do Marbelli, na Ibizę czy na Sycylię, a może do wszystkich tych miejsc naraz; czy widuję jeszcze tego typu, czemu nie dzwonię, gdzie kupiłam tę sukienkę i jak spotkałam Andreeę... Tak, tak, napiję się. Poproszę wódkę z lodem... Sok pomarańczowy... Nie, nie zanedbuję dobrych nawyków... Wreszcie, spokojnie, nie jestem alkoholiczką, już nie... Wprost przeciwnie, naprawdę przystopowałam... Tak, to właśnie to, podaj mi paczuszkę, jesteś uroczy... W porządku... Dobrze, a ty... Nie, nie jestem mężatką, czemu tak mówisz... Nie, nie zapomniałam... Nie dzwoniłam, bo... bo... Tak... poproszę wódkę... Co nowego... nic, jak zawsze... Kto zamówił szampana... nie, ja już dosyć wypiłam... OK, nie denerwuj się, tylko jednego... No, jak się masz, serduszek... Tak, upłynęło dużo czasu... Masz kokę?... Zobaczmy się za chwilę... Ale jesteś opalony... Skąd wracasz?... Jak było?... Wiesz, że czuję się jak kretyńka z pustą szklanką w dłoni... Drinka, serdeczne dzięki... Andrea, kochanie, szukałam cię wszędzie, gdzie byłeś?

– Na schodach ewakuacyjnych, a moja eks właśnie obciągała mi druta.

– OK, a nie nudzisz się za bardzo?

– Za nic w świecie.

Nie byłam w podobnym stanie już od wieków. Wszystko wiruje wokół mnie, całe morze twarzy zalewa mnie z każdej strony, o mało co nie upadam przy każdym kroku, ale wcale nie żałuję, że doprowadziłam się do takiego stanu przepicia. Wprost przeciwnie, nie posiadam się z radości.

Jest czwarta. Queen, ci sami idioci; są pijani jak bela, a ich ubrania są brudne. To jedyna różnica. Zmęczona zebraniem kupiłam dwa gramy koki, skoro potaniała, rozpieszczam się. Przechodzę przez tłum, żeby dojść do toalety, nieznane i lepkie torsy napierają na mnie, dwóch tandetnych i naćpanych do granic pedałów obściskuje się. Ślinią się i rzucają mi wrogię, mrożące spojrzenia spod okolicykowanych brwi. Udaję, że mi niedobrze, żeby wyminąć wszystkich. Facet od kibli daje mi rurkę. Rozsadza mi nos. Wychodzę, dzika i ze zdrętwiałymi dziąsłami, bardzo z siebie zadowolona. Wracam na miejsce. Idę, kręcę tyłkiem, popycham bez wyrzutów sumienia ohydne i spocone ciała, które zagrażają mi drogę.

Odnajduję Andreeę. Na kolanach siedzą mu dwie panienki, a na twarzy znów ma swój drwiący uśmiech skurwiela. Pije jak szewc. Przechodzę przez stół, przewracając kilka szklanek. Jakiś idiota wrzeszczy, ale Andrea ostro mu pokazuje, gdzie jego miejsce. Brutalnie zwałam obie dziwki z jego kolan i przylegam do jego usta. Całuję go namiętnie, moje ręce wślizgują się pod jego koszulę i pieszczą jego ciało, które znam na pamięć. Wszystko dookoła nas znika. Odpinam jego dżinsy, guzik za guzikiem i porywa nas wzajemna namiętność, nie mogąc jej opanować, powoli zdążamy ku nieuniknionemu aktowi. I pieprzymy się. W samym

środku Queen. Moja rozkosz jest spotęgowana bliskością tłumu. Nasze lubieżne ruchy uchodzą za pozór, a moje krzyki gubią się pośród zbyt głośnej muzyki...

Schodzę i siadam obok niego. Kilka osób przygląda się nam ze zgorzeniem, a my wybuchamy diabolicznym śmiechem. Nie szanujemy niczego ani nikogo, nawet siebie samych, i czujemy się obdarzeni wyjątkową mocą; uwolnieni na zawsze od jarzma zakazu. Nie mogę przestać się śmiać. Jestem pijana szampanem i rozpustą.

I chcę tego jeszcze więcej. Mam zresztą ochotę na coś intensywniejszego i nieosiągalnego.

Wychodzimy z lokalu. Droga z Queen do samochodu ciągnie się w nieskończoność, podtrzymujemy się nawzajem, żeby się nie wywalić. Kreślimy mimowolne kształty w naelektryzowanym powietrzu i powoli dociera do mnie, że jesteśmy śmieszni. Śmieszni. Machające marionetki. Osuwam się na siedzenie. Pola Elizejskie wirują dookoła mnie, usiłuję zamknąć oczy, żeby uciec od tej ogłuszającej karuzeli, której jestem środkiem, ale ścisk w skroniach zmusza mnie do pozostawienia szeroko otwartych oczu i patrzenia na żalospespektakl mojego upadku. Połamane ciało, wstrząsane dreszczami, osłonięte jako tako sukienką ze zmatowiałych cekinów. Ręce, które się wykręcają. Zniszczona twarz. Zapadłe i błędne oczy. Zlodowaciałe usta. Błada cera ze strużką skrzepniętej krwi pod łukiem brwiowym. Szukam w swoich oczach blasku, który znam. Ale go nie ma. Wpatruję się w obcą osobę. Obcą o zgaszonych oczach.

I kto by pomyślał, że Andrea jest jeszcze w stanie normalnie zaparkować... A ja dalej siedzę przygwożdżona do fotela, nie mogę się ruszyć. Mówi, żebym wstała. Odmawiam. W końcu delikatnie ciągnie mnie za rękę, udaje mi się wydostać z samochodu. Moje niepewne ruchy są śmieszne. Staję na chodniku. Przez chwilę. Chwieję się na zmęczonych nogach i przewracam. Jest mi niedobrze. To wzbiera we mnie jak uczucie wściekłości, mam ochotę zwrócić mój niesmak, moją nienawiść i litry pochłoniętego alkoholu. Klęczę zgięta w pół i wymiotuję, nie mogąc przestać, moje wybryki tej nocy i codziennego życia, i brudzę sobie sukienkę od Lolity Lempickiej i tę ciszę ciężką od odgłosu spazmatycznych przełknięć. Wszystko dzieje się jak w koszmarze: wyrzucuję moje dawno stracone złudzenia, urojenia, które mnie nawiedzają, i to wszystko pada na czarny asfalt wraz z odgłosem płynnego i ohydneho wybuchu, który odbija się w mojej głowie jako nieszczęsny wyrok mojej niegodziwości. Jestem wyczerpana. Nie chcę się podnieść, nie chcę, napotkam jego spojrzenie. Spuszczona głowa pozwala mi ukryć piekące łzy. Chcę tutaj umrzeć.

Andrea podnosi mnie, jedną rękę wkłada pod kolana, drugą pod ramiona, zabiera mnie i unosi. Ogarnia mnie znużenie i wstyd, opuszczam głowę na jego ramię, wyglądam jak

nieżywa. Znajomy zapach jego mieszkania uspokaja mnie. Andrea prowadzi mnie powoli przez pokoje aż do łazienki. Sadza mnie na wannie i delikatnie zmywa wilgotną gąbką rozpuszczony makijaż i łzy. Cierpliwie, aż do całkowitego zniknięcia ich śladów z mojej twarzy. A lustro przywraca wizerunek bladego dziecka o smutnych i podkrążonych oczach. Myje mi zęby.

– Wypluj.

Pluję. Następnie rozplata moje pogniecione włosy, nie zadając mi bólu. Ściąga czółenka od Prady i sukienkę. Wkłada na mnie swoją olbrzymią koszulę. Bierze za rękę i prowadzi do pokoju. Kładzie mnie do łóżka, z głową na środku poduszek, i przykrywa aż po brodę. Nie puszcza mojej dłoni. Pamiętam nieskazitelną miękkość prześcieradeł i uspokajający dotyk jego ręki. Potem zapadłam w sen.

Nazajutrz wszystko zaczęło się od nowa. I było jeszcze gorzej...

Rozdział 9

„Nie zniosę tego dłużej.

Nie jesteśmy już żywymi istotami, to tylko złudzenie.

Ugrzęźliśmy w Nocy i ćpaniu.

Nawiedzamy podłe miejsca wschodniego Paryża, dzielnice, o istnieniu których nie mieliśmy dotychczas pojęcia. Tarzamy się w brudzie innych, karmimy się odrażającymi oparami, bezsensownymi spotkaniami i tą wszechobecną zgnilizną duszy, którą dostrzega się tylko nocą i do której wbrew sobie zdążamy.

Gramy komedię życia, ale jesteśmy bardziej martwi niż żywi.

Żywe trupy.

Tracę dech... moje pragnienie, żeby tak żyć dalej, słabnie.

Nie zniosę tego dłużej...

Biorę działkę.

Każdego dnia uczestniczę w upadaniu człowieka, którego kocham. Jego głowa uderza o stół, drżące ręce opróżniają saszetkę, usypują białe linie, a one znikają w mgnieniu oka, w nerwowych, bezładnych ruchach, które wykonuje, żeby je wciągnąć, oddając się temu całym sobą, ja jestem intruzem.

Zapchany nos, puste oczy.

Już nawet się nie pieprzymy.

W ustach mam ciągle metaliczny posmak, już nie czuję moich dziąseł, codziennie rano z nosa cieknie mi krew.

Odizolowanie się, samowystarczalność. Nie dzwoniemy już do nikogo poza naszym dealerem.

Próbujemy wszystkiego. Wczoraj na przykład paliliśmy kokainę.

Szklana podstawka, zwinięty banknot, nieskalane kryształki. Ukradł mi moje nałogi.

Tak nie można żyć we dwoje.

Włóczymy się po podłych miejscach, gdzie imprezujemy z biedakami, ci są najbardziej rozpaczliwi.

Szósta rano, gdzieś w osiemnastej dzielnicy, śmietniki i ludzie. Wydaje się, że wstaje

nowy dzień. Ale to wieczna noc.

I tylko ja to wiem.

Może i on też to wie, nie pytam go, już ze sobą nie rozmawiamy.

Ociężałym ruchem otwiera drzwi auta. Wsiadam bez zastanowienia.

Słuchamy Aerodynamic Daft Panków i mam ochotę jechać bardzo szybko, bardzo daleko, i dociskamy 200 km/godz. po pustych bulwarach, a wszystko zostaje za nami w jednym błysku; myślę sobie, że mam ochotę zdechnąć i że byłoby mi obojętne w tym momencie, gdzie, zdechnąć obok Andrei, jadąc 200 km/godz. po Paryżu, nabuzowana koką i szybkością, z wyjącymi, wibrującymi w powietrzu gitarami Daft Panków w tle, czy rzucić się z mostu Arts, bo w naszych chromowanych oczach nasz los się zmaćił, czy stanąć na dziedzińcu Carrée, u stóp obelisku, pod Łukiem Triumfalnym, na placu Victora Hugo i wjechać w drzwi muzeum Marmottan, żeby wydać ostatnie tchnienie przed *Impresją, wschodem słońca* i zdechnąć ze łzami w oczach, obok bratniej duszy, naprzeciw wybitnego dzieła. I uświadamiam sobie, że z nosa sika mi krwi i że dzwony biją, a my dotarliśmy...”

Rozdział 10

To już koniec. Podałam się. Już nie mogłam. Myślę, że doszliśmy do momentu, kiedy zaczęliśmy się nienawidzić. Nie mieć już życia. Rutyna, nieznośna rutyna, pewność, że obudzimy się każdego dnia obok siebie. Błąkać się razem, nudzić się... Starać się oszukać nudę, ogłupiając się prochami, wysilać się, żeby było między nami coś, co nie byłoby naszą „miłością”. Chwytać się tego, żeby uciekać od tej siebie, nienawidzić się za to, że się ciągle jest razem, bojąc się jednocześnie, że ta druga osoba odejdzie... Odejść wcześniej.

To już koniec.

W moim ogłupiałym sercu głupota śpiewa na całe gardło.

Dzisiaj robiłam zakupy. Kupiłam dwie pary dzinsów od Cavalli, wysokie kozaczki u Colisée de Sacha, marynarkę od Barbary Bui i całą kolekcję Paul and Joe, spodnie od Josepha, jedną parę butów od Prady, u Diora już entą torebkę, a do niej odpowiedni portfel i okulary. Kupiłam nawet kapelusz Fendi z firmowym znaczkiem, który założę tylko raz, w niedzielę do kina.

Dziś mam cztery zaproszenia na kolacje: pierwszą organizuje towarzystwo charytatywne w Bains. Na taką imprezę zakłada się wieczorową suknię wartą trzech podstawowych pensji. Idziesz tam napchać się świadomością, że dzięki twojej obecności i twoim 500 patykom, które płacisz za wstęp, ratujesz życie trzydziestu afrykańskim dzieciom. Nie pójdę na tę kolację, Bains to za daleko.

Jestem również zaproszona na dwudzieste urodziny Sultana. To nie imię konia ani psa, to po prostu jeden z moich przyjaciół z dzieciństwa i myślałam, że udało mi się od niego w końcu uwolnić, ale on uporczywie zaprasza mnie co roku na te urodziny, gdzie z góry wiem, że zastanę resztki zwyrodniałej rasy. Bojkotując rajdy i ulicę Passy, unikam ich towarzystwa, odkąd wydorostałam. Udaję umarłą.

Kolejne zaproszenie to ciągła rozgrzewka u Chrisa, przy alei Montaigne'a. Zamawia się jedzenie u Diepa, wypija się kilka kieliszków i ćpa się, żeby się zaprawić przed wyjściem na miasto.

Ostatniego zaproszenia nawet nie biorę pod uwagę. Kolacja organizowana przez

producenta filmów porno, który zwariował na punkcie Victorii i chce nas poznać ze swoimi aktorami.

Mówię o tym ze względu na dodatkowe znaczenie: jestem tam pożądana.

W każdym razie cztery zaproszenia, a jedno nudniejsze od drugiego i nie wiem, co mam zrobić. Chcę iść do Marketu, nowo otwartego miejsca Jeana-Georges'a, ale mam również ochotę zjeść sushi, jednak nie u Nobu, i napić się różowego drinka, którego podają tylko u Zo i w Bindi. A może by tak zjeść kurczaka z coca-colą? Skądinąd, za każdym razem, kiedy słyszę kelnera mówiącego „tychmiast” zamiast „natychmiast”, a w menu czytam „odrobinka”: „odrobinka soku ze świeżej marchwi” albo „odrobinka parmezanu”, jestem zdolna popełnić zbrodnię.

Będzie lepiej, jeśli zostanę w domu. Nie mając pewności, dzwonię do Victorii na jej drugą linię.

– Hallo – wrzeszczy z tym swoim amerykańskim akcentem.

– Mówi Hell. Jak się masz?

– Hell, *darling*, właśnie porządkuję mój spis telefonów i wpisałam cię pod Very VIP, masz specjalny dzwonek, tylko dla ciebie i...

– Vicky, kochanie, mam poważny problem i jakieś twoje porządkowanie numerów w książce telefonicznej obchodzi mnie tyle co moje pierwsze majtki od La Perla: co robimy wieczorem?!

– Idziemy do Chrisa popić i nawalić sobie nos, a później do Cabaretu popić i nawalić sobie nos, a potem do Queen po...

– Chris odpada.

– Jak to, Hell? Masz coś do mojego chłopaka?

– Przestań odstawiać ten twój cyrk, przecież to ja ci go przedstawiłam. Bardzo lubię Chrisa, ale nie mam ochoty widzieć ani jego, ani jego superkolegi, nowojorskiego Mongoła Juliana, ani jego superkolegi Benjego, najlepszego pacjenta szpitala psychiatrycznego Sainte-Anne roku 2001, ani mojego eks A., ani mojego eks B., ani reszty tych nędznych ćpunów, którzy tam bywają. Tego wieczoru chciałabym pogadać, rozumiesz?

– Ach tak, a ja mam ochotę się pieprzyć.

– To będziesz się pieprzyć później.

– Przestań, Hell, wiesz dobrze, że Chris może tylko między dziewiątą a jedenastą, później jest tak naćpany, że mu nie staje.

– Więc idź beze mnie.

Odkładam słuchawkę.

Na co mi to wszystko? Ganim po sklepach i imprezach, kupuję coraz to nowe, za każdym razem inne ciuszki, idę w nich wieczorami tam, gdzie się tańczy, pije i nie rozmawia, gdzie przychodzi się samemu lub w złym towarzystwie, i gdzie wszyscy mają już dość.

Moje życie przypomina przejażdżkę autem po Paryżu o czwartej nad ranem, kiedy ogląda się puste ulice i słucha beznadziejnych piosenek, które oplakują gówniane miłości.

Andrea w samochodzie słuchał zawsze Iggy Pop'a *Night clubbinb*, INXS *I need you tonight* albo Radiohead, przede wszystkim *Creap* i *High and dry*, uwielbiał też Stinga i U2, ale udawał, że nie.

Przekonałam go do nastrojowej muzyki, dałam mu płytę z *Cruel Intention*, nigdy jej nie przesłuchał.

Gdy Andrea był mały, jego ojciec opuścił dom i zamieszkał w hotelu Ritz... Pewnej nocy Andrea wstał z łóżka, uciekł po kryjomu, szedł aż do hotelu Ritz i przyprowadził ojca. Miał wtedy osiem lat.

Dzisiaj ma dwadzieścia dwa, znalazł sobie jakąś idiotkę, nic nieznaczącą blondynę, która nie jest do niczego podobna, po prostu zwykła „grzeczna dziewczynka”. I teraz w Paryżu mówi się o mnie jak o wdowie. Każde powitanie brzmi jak kondolencje.

To już koniec.

Spędziłam wakacje na haju. Saint-Tropez, Ibiza, potem Bali z rodzicami. Udawałam, że się śmieję, dobrze się bawię, piję i ćpam od rana do wieczora, nawet na plaży i statku. Upadałam... Wolę zapomnieć o tym, co robiłam podczas wakacji.

Zadzwoił dwa tygodnie temu. To już trzy miesiące, jak się nie widzieliśmy. Chciał wiedzieć, co nowego u mnie słyszeć. Ale o czym tu mówić?

Umówiliśmy się w barze Prince de Galles o północy, byliśmy pewni, że nie natkniemy się na nikogo.

Ubrałam się na beżowo, spędziłam wiele godzin przed lustrem, żeby pod makijażem ukryć podkrążone oczy i żaloszny wygląd. I przećwiczyłam olśniewający uśmiech.

Kiedy dotarłam, był już tam, taki sam jak zawsze, w czarnym garniturze i z tym niedostępnym wyrazem twarzy. Czytał *Filozofię w buduarze* i nawet nie tknął swojej wódki z tonikiem.

Zachowywałam się jak dziwka, paliłam papierosa za papierosem, miałam nieobecny wzrok, obróciłam się i rozglądałam po barze. Dwóch Saudyjczyków przyszło się przywitać.

Andrea opowiadał o swoich wakacjach w Miami i procesie ojca.

W przytłumionym barze, wśród tych pospolitych ludzi, byliśmy dwojgiem pospolitych osób i niczego nie przeżyliśmy. Wstałam więc, chwyciłam go za rękę i wyprowadziłam na

zewnątrz, do jego samochodu.

– Do mnie.

To wszystko, co powiedziałam.

Włączył muzykę, ja ją wyłączyłam i wracaliśmy w ciszy, którą zagłuszał jedynie warkot silnika.

Nie zdążyliśmy się dobrze rozebrać, a już się pieprzyliśmy. Tak źle.

Później spokojnie tłumaczył mi, co czuje do swojej dziwki i co mu się zdawało, że czuł do mnie. Mówił, że dobrze się stało, że odeszłam, bo nasz związek to była jedna wielka pomyłka, ale jest nawet zadowolony, że przełamaliśmy lody tego wieczoru, w ten sposób moglibyśmy w przyszłości podtrzymywać przyjacielskie stosunki. „Diana to kobieta mojego życia, matka moich dzieci”.

Chce, żebym wyła z bólu? Nawet nie, ma to gdzieś. Jest tak bardzo zakochany w tym swoim nadętym zjawisku, że musi o tym z kimś pogadać.

Nie ma mowy, w tym łóżku jestem tylko i wyłącznie ja. Wbijam sobie paznokcie w dłoń, aż do krwi, żeby znieść ból, który mnie stopniowo zalewa. Ja, która jestem skazana na słuchanie pochwał mojej rywalki z ust człowieka, któremu się bez oporu oddałam, którego kochałam.

Głos, o ukochanej barwie, towarzyszy utracie moich ostatnich nadziei. Jedno słowo, jeden gest z jego strony, a złamałabym się, wszystko bym mu wyznała, prawdę o moim odejściu, o mojej wierności i miłości.

Mam straszną ochotę rozplakać się, ale tego nie robię. Moje oczy bardziej błyszczą, wilgotne, ale on wydaje się tego nie zauważać. Przewyciężam się. Nie poddaję się. Zastępuję ból pragnieniem zemsty. Chcę, żeby cierpiał, tak jak ja cierpię. Siadam na brzegu łóżka, głaszczę jego włosy, mój głos rozlega się w ciszy, a ja go nie rozpoznaję.

– Kochaj tę dziewczynę, kretynie, kochaj ją, bo być może ona nauczy cię kochać życie. Być może dzięki niej zostawisz swój nos w spokoju i przestaniesz pieprzyć się z dziewczynkami, być może nawet udowodnisz jej, że jesteś w czymś dobry, zmusisz się, żeby pracować. Być może, kiedy przedstawisz ją rodzicom, na nowo zaczną cię traktować jak syna. Twój ojciec nie będzie już chciał cię wydziedziczyć, a matka przestanie płakać po nocach, dlatego, że sprzątaczką nie jest w stanie usunąć śladów kokainy z twojego nocnego stolika, który służy ci tylko do tego, i nie weźmie już więcej Prozacu, być może nawet przestanie pić.

Wszystko będzie dobrze na tym najlepszym ze światów. Zaczнеш wstawiać o godzinie, o której masz zwyczaj się kłaść, będziesz pracował jako kierowca ciężarówki i słuchał wiadomości w korkach. Posadzisz swój wygodny tyłek na skórzanym fotelu i będziesz

zalecał się do sekretarki, która napluje ci do kawy, bo będzie już miała dość czyszczenia każdego dnia zdjęcia w ramach twojej chaty w Saint-Tropez z tobą, żoną, bojaźliwymi dziećmi i psem. Będziesz czytał gazety, będziesz mieć skrzywione poglądy polityczne, zaczniesz głosować na te programy, które obiecują zmniejszenie podatku majątkowego. Wieczorem będziesz wracał do domu, nie zdając sobie nawet sprawy z absurdu twojego życia, będziesz zakładał różowy pulower Polo Golf, jadał kolacje z tą twoją kretynką, a rozmowy będą dotyczyć epidemii zdrad, które szerzą się wśród waszych znajomych, ty jednak nie powiesz jej, że to dotknęło także was. Stracisz młodość, nie zdając sobie z tego sprawy. Będziecie chrapać obok siebie na małżeńskim łóżu o powierzchni czterech metrów kwadratowych. Wspólne noce, wspólne spanie, bez dotykania się. Ale dla ciebie to bez znaczenia, bo będziesz wolał pójść do burdelu albo na dziwki z bulwaru Lannes. Staniesz się podobny do twoich rodziców – chodzący banał.

Nie... Naprawdę myślisz, że tak skończysz? Chyba śniesz, Andrea, to byłoby za łatwe. Doskonały burżuj to i tak za dobrze dla ciebie, nawet nie jesteś w stanie nim być. Nic ci się nie udaje, Andrea, nawet twoje imię jest do bani. I tym właśnie jesteś, karykaturą biednego faceta, który ma wszystko i jest nikim.

Wkurzałeś mnie po tych sześciu miesiącach. Dlaczego odeszłam? Ponieważ nie wiedziałam, jak ci powiedzieć, że dla mnie wszystko skończone. Nie miałam ochoty wysłuchiwać twoich błagań, żebym została, i nie chciałam zostać z litości. Więc odeszłam, tak było prościej. Najgorsze jest to, że nawet nie jesteś zdolny być stałym w tych twoich nędznych uczuciach. Zadałeś się z tą kurwą po miesiącu? Zapomniałeś już o swoich rozpaczliwych nagraniach: „Wróć!!!”, którymi zapychałeś moją automatyczną sekretarkę?

A teraz skaczesz i mówisz, że jesteś zakochany, a posuwasz tygodniowo dziesięć dziwek z przedmieścia, podczas gdy twoja panienka marzy o tobie w swoich prześcieradłach Bambi. Chodzisz naćpany od rana do wieczora, a przecież kontrolowałeś wszystko... I uważasz się za zrównoważonego faceta, który przeżywa niezwykłą przygodę z uroczą dziewczyną? Oboje wiemy doskonale, że to rażące kłamstwo. Zrównoważony? Ty? Też pomysły, to śmieszne!

Poza tym, co nowego słyszeć w twoim nędznym życiu? Znudzony bardziej niż wczoraj i mniej niż jutro. Przesypiasz dzień, a z nocami i tak nic nie robisz. Ćpasz, myśląc, że unikniesz prawdziwego przeznaczenia bycia dobrym synkiem, który przygotowuje się do egzaminów do Wyższej Szkoły Handlowej, który nie wychodzi na żadne imprezy i na gębie ma pełno pryszczki. Ale to nie było ci przeznaczone. To teraz jesteś w samym środku twojego prawdziwego przeznaczenia, biedny kretynie, jesteś jego więźniem!

Biedny mały Andrea, który udaje sprytnego i myśli, że wyprzedzi los, jadąc 200 km/godz. tym swoim gównianym porsche. Wierzy w to mocno i każdego dnia pogrąża się coraz bardziej w swoim szale egzystencjalnym. Kochanie, nieszczęście mknie szybciej niż GT3!

I to jego śmieszne nazwisko! Andrea di Sanseverini, arystokracja na wymarciu, zubożała w wyniku mieszania się ze sobą krewnych, rozkładu elity; mamusia na prochach, tatuś playboy, synek degenerat, tylko Gabriela wyszła z tego cało.

Jednak Andrea ma przyjaciół wszelakiej płci i ma pasje. Ci pierwsi to dealerzy i kurwy, a to, co dostaje od pierwszych za kasę, pozwala mu zadowalać te drugie, w zamian suto go wynagradzając. Andrea ma nawet dziewczynę, Dianę. Jest blondynką, zdradzaną blondynką. Pragnieniem Andrea jest kupić Queen i zamieszkać w nim. Jego sytuacja finansowa – trzydzieści tysięcy franków miesięcznie, które wyciąga od ojca, żeby zakupić kokę. Jeśli ten ostatni zacznie mieć dość spółzonego nieudacznika i przestanie łożyć na jego rozrywki, Andrea będzie wolał poświęcić Lajosa niż swoje umiłowanie luksusu, i wyśle swojego dealera (który okazyjnie robi też usługi ekstra), żeby pozbawił życia jego rodziciela. Będzie bogaty, ale zamęczany przez erynie, które go już nie zostawią w spokoju, i skończy, podcinając sobie żyły, napychając się prochami, rozwalając sobie czaszkę z broni myśliwskiej... Nie uda mu się samobójstwo, bo nic mu się nie udaje, i... roślina w szpitalu amerykańskim, gdzie Diana będzie mu przynosić czekoladki zanim przywdzieje habit zakonnicy u urszulanek... Oto życie i człowiek, *Dulce et decorum*, świec Panie nad jego duszą. Dobranoc i spadaj.

Nawet nie mrugnął okiem. Wstał i zostawił mnie. Każde słowo, które się ze mnie wydobywało, było ciosem w samo serce, i kiedy odszedł, byłam wykrwawiona.

Nazajutrz poleciał na Malediwy. Z tą swoją zdzirą. Wrócili w zeszły czwartek po dziesięciu dniach pełnych słońca i miłości. Dla mnie było to dziesięć dni zamknięcia, straszliwej depresji, śmierci.

„Twoje nędzne złości są jak bicie na oślepie... jesteś jak dziecko, który zrobiło sobie krzywdę i próbuje popychać kolegów w piaskownicy, żeby też zrobili sobie krzywdę...”

Sobota wieczór, to już drugi tydzień, jak nie wychodzę z domu. Boję się stawić czoło światu, nie mając przy sobie Andrei. Wiem, że nie spotkam go z nią, ona nie wychodzi, „to nie wypada”. Nie, on wychodzi sam i zdradza ją z dziewczynami. Ona nie wie, że on zdradza mnie z nią.

Dziś wieczór też nie wyjdę. Czuję strach przed jego obojętnym spojrzeniem. Wietrzę mieszkanie, powiew świeżego powietrza przepędza dym z salonu, ale nie moje czarne myśli.

Chloé jest w szpitalu na detoksie. Policja poszukuje ojca Cassandry za handel bronią, zwał w nocy swoim odrzutowcem. Cassandra została, zarabia na swoje nędzne życie jako kelnerka u Costes i dziwka u Fatien. Według ostatnich nowinek, pieprzy się otwarcie z ojcem Sybilli. Zresztą Sybilla próbowała popełnić samobójstwo, w dodatku Vittorio zwał z milionami ze spadku po jej matce, to było więcej niż mogła znieść.

Nie będę mogła zasnąć.

Włączam muzykę...

Z czasem... Z czasem wszystko mija, wszystko

odchodzi...

Zapominasz twarz i zapominasz głos, Kiedy serce mocniej bije, nie szukaj niczego

więcej.

Tak jak jest, niech się dzieje, i tak jest dobrze...

Z czasem... Z czasem wszystko mija, wszystko

odchodzi...

Ktoś, kogo kochałeś, kogo szukałeś w strugach

deszczu,

Ktoś, kogo rozpoznawałeś po spojrzeniu,

Między słowami, między zdaniem i pod

plaszczem

Pięknej przysięgi, która odchodzi w noc...

Z czasem... Wszystko gaśnie...

Przypominam sobie Calavados, kiedy najlepsze miało dopiero nadejść... Przypominam sobie jego spojrzenie i twarze muzyków. Przypominam sobie, jak stamtąd uciekłam.

Coś we mnie wybucha, wyprostowuję się, ściskając prześcieradła, wykrzykuję słowa, głos się załamuje... To moja wina. Chciałam to zakończyć pod pretekstem, że się wzajemnie niszczyliśmy, ale to ja byłam sprawcą naszej klęski, działałam na moje własne nieszczęście.

To już koniec.

On sobie jest z dziewczyną, a ja siedzę jak idiotka w domu w sobotni wieczór. Nawet nie mam ochoty wyjść, to mnie nie interesuje, nie chcę widzieć nikogo oprócz niego. Brakuje mi go.

Właściwie jednak, po tym wszystkim, co mi szkodzi iść do niego i wyznać mu wszystko? Wyznać mu, dlaczego odeszłam, że powiedziałam mu te wszystkie pierdoły ostatnim razem, bo byłam nieszczęśliwa, zazdrosna i zagubiona, że każde słowo dla niego jest także dla mnie i że partaczymy nasze życie.

Kocham cię, to nic i wszystko zarazem, nigdy mu tego nie powiedziałam.

I nieważne, jeśli odpowie mi oschle, żebym się odpieprzyła. Przynajmniej będę wiedzieć, na czym stoję.

Zakładam ciuchy, które kupiłam po południu. I pasek, prezent od niego. Moje włosy są trochę wilgotne i zaczynają się kręcić, ale to nie moment na ich układanie. Przerzucam zawartość torebki od Vuitton'a do nowej od Diora i wybiegam z domu. Zerkam jeszcze w lustro przy wejściu... Kiedy spojrzę w nie po powrocie, będę już wiedzieć.

Lecę do postoju taksówek, nie mam ochoty wyczekiwać w domu przez siedem minut. Biegnę ulicą, moje metalowe obcasy stukają po asfalcie.

Jest w pół do pierwszej w nocy, on musi być jeszcze u siebie; zawsze do brudnej roboty wysyła kolegów, mają zarezerwować stolik o północy, a przychodzi dopiero około drugiej, kiedy jest już pełno.

– Aleja Focha, na wysokości L'Etoile.

Jego holl, winda, piętro, jego drzwi... Odkupienie, rozgrzeszenie, światełko w tunelu... Naciskam na dzwonek z zapalem, ale nikt nie odpowiada. Cisza. Moje szaleństwo nagle opada. Jestem patetyczna, po raz kolejny, z porywami niszczycielskiej miłości, które rozbijają się o zamknięte drzwi.

Nie ma go, musi jeść kolację na mieście. W takim stanie nie mogę zaglądać do każdej restauracji w Paryżu. Zaczekam na niego w Nouveau Cabaret.

Pola Elizejskie pokonuję pieszo. Idę szybko, prawie biegnę na moich zbyt wysokich obcasach. Wymijam wszystkich na postoju taksówek. Kierujemy się stroną placu Concorde, droga dłuży mi się w nieskończoność na ulicy Faubourg. Jego samochodu nie ma przed hotelem Costes. Zapalam papierosa, ale go od razu wyrzucam. Docieramy w końcu do Palais-Royal. Wsiadam i oglądam wszystkie tablice rejestracyjne zaparkowanych tam aut: mnóstwo porsche, dwa ferrari, z których jedno maranello z rejestracją szwajcarską, niebieska modena spyder na niemieckich numerach, audi TT Victorii. Popatrzmy na czarne porsche... 750NLY75. Jest tam. Wchodzę do jaskini lwa.

Rozdział 11

„Mam na imię Andrea i mieszkam w XVI dzielnicy.

Jestem prawie szczęśliwy.

Wydawałoby się, że mam wszystko: jestem Młody, Piękny, Bogaty; całe społeczności powinny marzyć o tym, żeby być na moim miejscu.

Prawie...

Jestem Młody, Piękny, Bogaty i świadomy. I właśnie ten szczegół rozwała wszystko”.

Moje życie nie jest niczym innym jak tylko luksusem, spokojem i przyjemnością. Mam mieszkanie za sześć milionów, samochód marzeń (no cóż, samochód waszych marzeń) i więcej ciuchów niż Madonna. Posiadam obrazy mistrzów, dwa tysiące płyt kompaktowych i kartę Am Ex Platinum. Uprawiam sport w Ritzu i nigdy nie jadam kolacji w domu. Mam dwadzieścia dwa lata.

Mieszkam przy alei Focha na dwustu metrach kwadratowych wyłożonych parkietem, kasetonami i z kominkami. Na ścianach, oprócz dzieł mistrzów, wiszą genialne obrazy artystów potępionych i szkic Warhola, który osobiście kupiłem na licytacji. U sufitu kryształowe żyrandole, jedyne jakie ocalały z tokańskiego pałacu, będącego schronieniem mojej rodziny przez czterysta lat.

Zburzyłem kilka ścian, żeby stworzyć ogromną przestrzeń, gdzie tu i tam, zupełnie jakby porzucone, znajdują się: fortepian, jadalnia Knoll, telewizor Bang i Olfusen, kanapy, fotele, niskie stoliki od Conrana i popielniczki Colette. W innym pomieszczeniu łóżko rozmiaru king-size, lustra ścienne Nowego Jorku nocą i szklane jacuzzi.

Prowadzę porsche GT3 z rejestracją 750NLY75. Buty szyję na zamówienie u Berlutiego. Noszę tylko dzinsy od najlepszych projektantów lub garnitury za dwadzieścia pięć tysięcy. Zarówno zimą jak i latem nie ruszam się z domu bez moich okularów Ray-Ban seventies, a włosy mam zawsze w nieładzie. Jestem artystą, a moje dzieło to Ja.

Moja osoba, moje mieszkanie, mój samochód, mój styl życia, moja postawa należą do wyjątkowych. Nie robię niczego tak jak inni, a jeśli już, to robię to lepiej.

Codziennie wstaję w południe, wskakuję w porsche i jadę na śniadanie we wszystkie te miejsca, których ty nie znasz, później popływać do Ritza albo na zakupy, albo na aukcję, albo do biura mojego ojca. Potem wracam i czytam jakąś książkę lub oglądam film, a później wychodzę.

Wychodzę każdego wieczoru, to moja jedyna słabość. Nie jestem zdolny do spędzenia wieczoru w domu. I tak jest już od ośmiu lat. Jak wszyscy, zaczynałem w Planches, skąd mam wzruszające wspomnienia, bo to tam zacząłem nosić moje pierwsze garnitury Dolce & Gabanna. Miałem czternaście lat, kiedy odkryłem to, co wydawało mi się być słynnymi paryskimi nocami: Gilbert Montagné na pasku, cały Paryż w koszuli Ralphi Laurena, whisky i jej niebezpieczne właściwości, Klub Rozpieszczonych Dzieci, świetne wieczory typu „zarywać-nie-zarywać-podczas-konkursu-krawatów-w-burzy-śnieżnej-open-bar-u-wszystkich-czapki-Jack-Daniels-i-kurtki-Cutty-Sark”, krótko mówiąc: figa z makiem! Miałem się za Tonyego Montanę, kiedy zbierałem kasę i szedłem kupić butelkę, z jednym z tych grubych cygar mojego ojca w ustach. Zarywałem te rozkoszne spłoszone laseczki z dobrych domów – tak, bo wtedy zamiast powiedzieć: obejmować, czarować, całować z języczkiem, chwycić, mówiło się zarywać. Jest to neologizm, a co gorsze odmienia się, więc: zarywałem mnóstwo małych Mach (Marie-Charlotte), małych Anne-Cé (Anne-Cécile), małych Priss (Priscilla), kretynek, które po dziesięciu minutach gadki, ciągnęły mi druta w publicznych kiblach i później żałośnie płakały, bo ja już ich nie chciałem, a one były we mnie zakochane.

Poza tym, miałem już dość młodego ciała, dość słuchania beznadziejnych francuskich piosenek, a zwłaszcza dość szefa Planches, który chciał wypisać moje nazwisko na małej pozłacanej tabliczce i przywiesić ją przy wejściu pośród nazwisk najlepszych bywalców klubu. A wszystko przez moje „di” przed nazwiskiem. Powiedziałem sobie, że klub prowadzony przez świra nie może być dobrym klubem, więc mu podziękowałem.

Zresztą ja i moi przyjaciele dorośliśmy. Osiągnęliśmy nawet pełnoletność. Nie było już sensu tracić czasu w jakimś klubie, który pustoszeje w połowie czerwca, bo klienci akurat bronią dyplomy.

Staliśmy się zbyt starzy. Musieliśmy pogodzić się z faktem, że miejsce, w którym czuliśmy się jak ryby w wodzie, odtąd wydawało nam się tak bardzo pozbawione atrakcyjności. Akwarium się opróżniło, a my poszliśmy zasilać szeregi prawdziwych klubów, poczuliśmy się dorośli. Dorośli? Przecież tam na nas patrzono jak na ciekawe okazy. Nasz młody wiek dziwił, nasza arogancja jeszcze bardziej, ale pieniądze otwierają wszystkie drzwi, a my obecnie rozgniatamy półświatkową faunę tych rzekomo eleganckich klubów. Tam jest

wszystko, prawdziwy remake *Komedii ludzkiej*, biurokraci middle class, którzy mieszkają w czterdziestu metrach kwadratowych i którzy rozpieprzają swoje wypłaty na butelki tylko dla samego faktu ich wydawania, poprzebierane sekretarki i kosmetyczki w stylu jet-set, mściwi mieszkańcy przedmieść wyciągnięci z rynsztoka przy dużej ilości obrzydliwych przerobionych przebojów francuskiego rapu, które psuje fale, złote płyty, akurat! Dzięki, Barclay i Polygram. Dla nich to promocja społeczna, a my schodzimy na psy.

Rozkosznie rozłożeni w łóżach dla VIP-ów, z naszymi dobrze brzmiącymi nazwiskami rodowymi. Jesteśmy 0,01 procent dziesiątej dziesiątki, co wywołuje ślinienie u menadżerów poniżej pięćdziesiątego roku życia, którzy w niedziele wieczorem oglądają *Capital*, a my mierzymy ich wzrokiem, i zarozumiałość nas rozsadza. Wódka i poczucie wyższości uderzają nam do głowy, my, panowie świata, prawdziwa reklama Sprite'a.

Jesteśmy małą częścią ogółu, ale czujemy się liczni, bo nie obchodzi nas to, co się dzieje poniżej. O godzinie, o której ty wstajesz, żeby iść do pracy, my kładziemy się spać pijani i zadowoleni, że rozpieprzyliśmy w jedną noc równowartość twoich całotygodniowych zakupów, twojego czynszu, nawet twojej wypłaty. A najgorsze jest to, że to całkiem normalne, i że zaczniemy na nowo następnego dnia i następnego, aż się nam nie znudzi.

Oburza cię to? Tym lepiej... To po to jest.

Jestem skurwielem, wrednym skurwielem, który olewa wszystko z wyzyna swoich dwudziestu dwóch lat i swoich milionów. Mój punkt widzenia? Wpieprzać wszystkich, włącznie z tobą!

Ponieważ wpieprzanie wszystkich jest wyjściem, lekiem na nudę. Denerwować, wkurzać bez powodu hipokrytów zdeklasowanych, nietolerancyjnych, pretensjonalnych, sąsiadów, mieszcuchów, skąpców, mitomanów, nieuleczalnych miernot, tych, którzy kupują sobie wielkie samochody na kredyt, tych, którzy mówią o polityce i traktują dziewczyny jak dziwki tylko dlatego, że nie udało się im ich przelecieć, tych, którzy krytykują książki, a nie przeczytali ich, tych, którzy nawołują tylko do swojego kościoła, tych, którzy rzucają banknotami w twarze kelnerów, tych, co nie cierpią gliniarzy, a i tak nie mówię tutaj o najgorszych.

Posiadam dwa niezawodne narzędzia do uprawiania mojej sztuki. Po pierwsze to moja niewątpliwa przewaga fizyczna, intelektualna, finansowa i społeczna, która od razu rozgniat przeciwnika i zapewnia mi nietykalność przy jakimkolwiek ataku. Po drugie, mam wszystko w dupie i niczego się nie wstydę.

Uważasz, że to dziecinne? Mam swoje powody.

Wpieprzam wszystkich, bo ich nienawidzę.

Nienawidzę świata za to, że nie jest takim, jakim chciałbym, żeby był. Jestem idealistą, cenię starodawne wartości: odwagę, bezinteresowność, wspaniałomyślność. Moje życie to poszukiwanie, które nie posiada już celu. Moi przodkowie byli bohaterami, a ja jestem tylko synalkiem tatusia. *Rebel without a cause*. Zginę w wypadku w moim porsche albo z przedawkowania, podczas gdy chciałbym umrzeć w walce.

O co walczyć? W świecie, gdzie Bogiem jest Sukces Społeczny, a ratuje się go już tylko w filmach.

Na próżno szukam w każdej twarzy iskry poezji, entuzjazmu w rozmowie, ideałów, jeśli nie idei. Ludzie jednak przechodzą obok, spieszą się, są źle ubrani, a ich oczy są puste od trosk.

I nic nie mogę dla nich zrobić. Nie mogę nic dla nikogo.

Przeze mnie oszalały wszystkie dziewczyny w Paryżu. Trzy czwarte z nich, bo nawet na nie nie spojrzałem, a co do pozostałych, tych, które przykuły moją uwagę, ponieważ były piękne lub bezczelne, lub rzekomo niedostępne, były takie na swoje nieszczęście.

Dziewczyny z XVI dzielnicy noszą futrzane płaszcze i zegarki Cartiera, płaczą na „tak” lub na „nie” i udają orgazmy. Zaczynają wychodzić do różnych lokali w wieku czternastu lat, ćpać w wieku piętnastu, obciążać w szesnastym roku życia, a wieku siedemnastu lat tracą dziewictwo z czyims synalkiem i poddają się pierwszej operacji plastycznej (nos, odsysanie tkanki tłuszczowej, piersi). Mają problemy z kompleksem Elektry i przerośnięte ego, słuchają gównianej muzyki, wszystkie kupują takie same torebki i nie cierpią swoich rodziców. Nauczyły się czytać na „Voici”, nie zadają się z plebsem, przez cały dzień obgadują swoje koleżanki i nigdy nie mają pomysłów.

Wszystko, co kochają, oprócz siebie samych i swoich terierków, to forsa.

Ich świdrujące spojrzenia mogłyby przenikać mury, analizują twoje buty, zegarek, głaszcząc twój tors, wyszukują markę garniturów, zerkają dyskretnie na kolor twojej karty kredytowej, grubość kieszeni, na model twojego porsche i stolik zarezerwowany w nocnym klubie, na to, co pijesz, jesz, na napiwek, który zostawiasz parkingowemu. Znają twoje nazwisko, wiedzą, co robi twój ojciec, ile zarabia i ile ci daje...

Same dziwki. Tym lepiej dla mnie.

Jestem wyzwaniem dla wszystkich. Najprzystojniejszy i najświeższy facet Paryża, o którym marzą te wszystkie małe idiotki, którego nikt nie miał i nikt mieć nigdy nie będzie.

Mógłbym je wszystkie przelecieć. To mnie nie bawi. To, co mnie rajcuje, to granie im na nerwach, torturowanie ich i doprowadzanie ich do szału.

Zrobiłem z tego sztukę życia (kolejną). Najgorsze jest to, że później one same się o to

dopraszają. Zadręczają mnie telefonami, zebrzą o wyjście na kawę, na drinka, bo MUSZĄ ze mną porozmawiać, fundują mi publicznie ataki hysterii, opowiadają wszystkim, że są we mnie zakochane i że nie rozumieją, DLACZEGO ja się tak zachowuję.

Najśmieszniejsze jest to, że kończą na tłumaczeniu sobie, że ich nie przeleciałem, bo za bardzo je szanuję.

Dymam tylko dziwki, lubię dobrze wykonaną robotę.

Dymałem tylko dziwki, aż do momentu, kiedy ją spotkałem...

Siedzę w moim salonie i w ciemności wpatruję się w miasto, zapalają się światła. Piję wódkę z tonikiem i myślę o Hell.

Kiedyś słyszałem o Hell wiele rzeczy tak sprzecznych, że aż intrygujących. Mówiono mi, że jest głupia, zdumiewająco głupia. Później ktoś inny zachwalał mi jej zawrotną inteligencję. Krążyły także plotki na temat jej częstych pobytów w szpitalu psychiatrycznym. Dowiedziałem się później, że było to kłamstwo. Opowiadano mi o jej głośnych wybrykach, prowokujących przemowach i obawie przed jej złym humorem. Ale wszyscy zgadzali się co do dwóch rzeczy: że była piękna i szalona.

Spotkałem ją, kiedy byłem na zakupach, szlochała przed Baby Dior, nigdy nie dowiedziałem się dlaczego. Była ubrana cała na czarno i promieniowała pięknem osoby wrażliwej. Przez dwa miesiące nawiedzało mnie jej spojrzenie, ale nie zrobiłem nic, żeby ją znów zobaczyć. Nie chciałem prowokować przypadku. Nasze drogi skrzyżowały się na nowo pewnej niedzieli o północy. Zabrałem ją na kolację do Calavados, a ona zaśpiewała piosenkę Ferrégo o martwej miłości, patrząc mi w oczy tak, jak gdyby z nich czytała.

Od tamtego dnia byłem zgubiony, uzależniony. Zależać od kogoś innego prócz siebie samego, stać się słabym, dręczyć się – to było to, czego się obawiałem.

Spędziłem moje życie na ściąganiu na siebie wrogości innych, żeby nie znaleźć się w tej paskudnej sytuacji bycia niekochanym, w momencie, kiedy sam o to prosiłem. Będąc świadomie nienawidzonym, zachowywałem kontrolę. Nienawidzono mnie, ponieważ to ja robiłem wszystko, żeby tak właśnie było.

Hell wzięła mnie w swoje posiadanie i nie zrobiła tego umyślnie. Wszystko, czego chciała, to uciec przede mną, i to z tych samych powodów: bała się mnie tak samo, jak ja bałem się jej. Ale już było za późno.

Użyłem wielu sposobów, żeby ją oczarować: samolot, statek, kasyno, Mediolan, Deauville, Monaco. Chciałem nie tyle zrobić na niej wrażenie, co wyrwać ją z Paryża, gdzie moja zła opinia była wszechobecna (nigdy jej tak nie przeklinałem jak w tamtym momencie),

i starać się jej udowodnić, że nie zastawiam na nią pułapki.

W końcu ustąpiła. Ileż to czasu spędziliśmy na całowaniu się w ogrodzie Carrousel tamtego wieczoru? Przez pół roku było doskonale, byłem szczęśliwy, nie mam nic do zarzucenia tamtemu okresowi, i wspomnieniom, których prostota obecnie sprawia mi ból. Tylko ona i ja. To wszystko. No i pewnego wieczoru wyszliśmy, a jej demon zawładnął nią na nowo. I od wtedy wszystko się zachwiało. Zaczęliśmy się włóczyć po tych ponurych miejscach, które ją przyciągały i przerażały jednocześnie. Wychodziła z nich zadowolona, lecz śmiertelnie zraniona. Chciała się zbrukać, potrzebowała tego, ale to ją zabijało. Stopniowo brała coraz więcej tego świństwa i ja też w tym uczestniczyłem, żeby to nie oddaliło jej ode mnie i również dlatego, że potrzebowałem tego, żeby się jakoś trzymać w całym tym picu i w miejscach, do których chodziliśmy. Powoli pękałem, ale nigdy nie zostawiłbym jej. Kochałem ją.

A później odeszła.

Pół roku szczęścia... powolny upadek... I pewnego dnia człowiekowi znów towarzyszy samotność. Ktoś zabiera swoje zabawki, składa karty, a ty zostajesz jak krety przed nie dokończoną partią... Czekać. Ponieważ nic innego nie możesz zrobić, tylko czekać. Przestać czekać, oznaczyłoby koniec.

Czekasz na próżno. Myślisz, że zostały wam same silne karty, których jeszcze nie wykorzystałeś, a one zmieniają bieg tej partii.

Ale przegrałeś.

Ja, ja przegrałem.

Nie, jestem przegrany.

Kocham ją... Cały czas, zawsze, aż do śmierci. Kocham ją śpiącą czy przygnębioną. Kocham ją nawet naćpaną, otepiałą, upodloną. Udawało jej się, nie wiem w jaki sposób, pozostawać tak czystą w sytuacjach najbardziej poniżających, że miałem ochotę padać przed nią na kolana.

Minęły cztery miesiące od ostatniego naszego spotkania. Nie mam wieści.

Od tamtego czasu wychodzę każdego wieczoru. Nie panuję już nad niczym, nawalam się jak nigdy, nie wiem już, co robię. Znalazłem sobie małą idiotkę, małą blondynkę (nie cierpię blondynek), rozsądną, skromną, o typowej twarzyczce delikatnej myszki. Antyteza Hell. Pieprzę się z nią raz w miesiącu, ledwo wiem, jak ma na imię.

Diana. Nic ciekawego.

No i pokazuję się z nią, obsypuję ją drogimi prezentami, a wszyscy myślą, że jestem stuknięty.

Poza tym, nigdy wcześniej nie sprowadzałem tylu dziwek. Pieprzę bez gumek, spuszczałem się im do gęby i potem je wywalałem.

Miesiąc temu zadzwoniłem do Hell. Już nie wytrzymałem. Udawałem, że właśnie wróciłem z wakacji, że chcę zapytać, co u niej nowego, ot, banały...

Przyjechała promieniująca pięknnością i obojętnością, ledwo słuchała tego, co do niej mówiłem. Przez cały czas patrzyła na innych, a potem, zanim zrozumiałem, o co jej chodzi, wyciągnęła mnie do mojego samochodu i pojechaliśmy do niej. Przez chwilę pomyślałem, że moje serce zaraz wybuchnie, że wychodzę z koszmaru, że byłem tam po to, by nigdy już stamtąd nie odejść. Ale coś w niej było nie tak. Miałem wrażenie, że nie jest już taka sama, że chce mi zrobić krzywdę.

Przespałem się z nią. Dałem jej uwierzyć, że tylko zależało mi na tym, by kogoś przelecieć, podczas gdy chciałem wykrzyczeć, że ją kocham. Później klarowałem, że jestem szaleńczo zakochany w Dianie, że ona jest miłością mojego życia, przyszłą matką moich dzieci i inne tego typu pierdoły. Ale to nawet jej nie ruszyło.

Wszystko, czego chciałem, to ją zranić. Zobaczyć te pieprzone błyszczące łzy w jej oczach. Żeby krzyczała, wyła, żeby się załamała. Wstała spokojnie, zaczęła głaskać moje włosy i wyłożyła mi, jak żalostną istotą jestem.

I zostawiłem ją.

Ta pustka. Nie da się jej opisać. Tylko jej następstwa. Uczepienie się mojego kretyńskiego życia. Bezsilność. Pragnienie przeszłości. Zacząć wszystko od nowa, uniknąć błędów, jakich błędów? Skazany na pustkę? To jest mi pisane. Przeznaczenie. I wszystkie te bzdury. Najmniejszy ruch jest trudny. Oczy wbite w ziemię. Obojętność na wszystko. Nienawidzić tych przedmiotów. Zabawić się, wziąć książkę, oglądać film, uciec na godzinę lub dwie, a później pograć na nowo. Włóczyć się po Paryżu, włóczyć bez celu. Te niewzruszone mury, ukrywające tyle tanich miłości, te rojące się istnienia, które wzbudzają we mnie wstręt. My... Gdzieś, ktoś żyje beze mnie.

Ta obecna pustka i wszystkie te puste dni, które mnie jeszcze czekają, i nic nie ma znaczenia, i dlaczego, dlaczego, dlaczego? Dlaczego nie kocha się już nic, kiedy jest się już niekochanym?

Zasypiać bez ochoty, żeby się obudzić, albo obudzić się z nią przy moim boku.

Moje płacze przy alei Georges-Mandel, między jej drzwiami a moim samochodem, kilka kroków. I ta ostatnia noc... która należy już do przeszłości. Zobaczyłem ją jeszcze piękniejszą. To dlatego, że to koniec?

Nienawidzić tych miejsc, tego pokoju rozkoszy, który stał się nieprzyjazny i bezludny.

Wyjechać. Bo naprawdę trzeba by wyjechać. Nawet jeśli się nie ma na to ochoty. Jakież to było nie do zniesienia – to łóżko, które już nie było moje, i Hell, która już nie była moja. I ta ogarniająca, trwała nadzieja przycupnięta w kąciку duszy, którą jednocześnie próbujemy stłumić i się jej brzydzymy, a która potem maleje, aż do ostatniej sekundy, do pożegnania, aż do windy.

Minąć drzwi. Ulica. A potem już nic.

Pustka.

Kładę opróżnioną szklanę na stoliku. Patrzę na wieżę Eiffla, na której pogaszono już światła. Ktoś dzwoni do drzwi, nie mam ochoty otworzyć. Jest trzydzieści minut po północy, nie przebieram się. Za dziesięć minut mam spotkanie w Nouveau Cabaret.

Schodzę na parking, wsiadam do samochodu i jadę do klubu.

Jest już pełny. Przechodzę przez tłum i znajduję resztę ludzi. Siadam, serwuję sobie szklaneczkę w tym zgromadzeniu, tym zagmatwaniu, tym pomieszaniu ciał. Od czasów samobiczowania człowiek nigdy sobie nie wymierzał kary z taką ilością dobrej woli, i zastanawiam się, skąd ta nieprzewyciężona ochota, żeby gorączkowo wsiąść do samochodu i z radością w sercu pojechać krążyć sześć godzin bez ustanku w podziemiach, w oślepiającym świetle lub w skrywającej nędzę ciemności, ogłuszony przez nieznośne bum, bum tak zwanej muzyki, w sam raz dobrej jako podkład rąbniętym pozeraczom amfetaminy. Społeczny kodeks tego miejsca: kupić butelkę alkoholu (droższą w tych burdelach niż u sprzedawcy na rogu), postawić ją na stole wielkości chusteczki do nosa, na którym ustawione są szklanki. Do każdej z tych szklanek podporządkowany jest stołek, a na każdym z tych stołków siedzi znudzony facet, który zapłacił za butelkę.

Na tej planecie przestrzeń życiowa osobników jest określona przez butelkę. Dobrze.

A trzeba by ich widzieć, jak pokazują zęby, kiedy ktoś odważy się dosiąść do ich stolika bez zaproszenia. Kąsają, kiedy ktoś porywa się na ich butelkę. 750 mililitrów wódki za 1200 franków, wiedząc, że zmieszana z sokiem pomarańczowym lub Schweppesem daje około dwudziestu szklanek, więc 60 franków za jedną; dziesięć łyków w szklance, a to nam daje sześć franków za łyk... Nie ma się nawet czym wstawić, więc cóż chcecie?

Tutaj reguły mogą się zmieniać do woli, pod warunkiem szanowania tej, która ma siłę prawa. Bulić. Bulić, żeby wejść, żeby usiąść, żeby się napić, żeby się pieprzyć, bulić, żeby się odlać. Ach tak! Jesteś do tego zmuszony! Nic gorszego niż ten pogardliwy wzrok babci klozetowej, gdy przechodząc obok jej miseczki, nie wrzucisz jednej czy dwóch monet. I nie próbuj oszukać jej grosidlami, bo są lżejsze i przy wrzucaniu wydają inny brzęk. A babcia klozetowa, która podczas swojej dwudziestoletniej kariery miała czas przyswoić sobie

wszystkie istniejące monety i dźwięki, które im odpowiadają, zmarszczy brwi i pójdzie rozpowiadać po całym klubie ohydne historie na twój temat. Albo gorzej, zawoła ochroniarza, kiedy będziesz sobie spokojnie wciągał działkę na pokrywie kibla, bo wykryje po układzie twoich stóp, że nie jesteście w trakcie robienia tego, co powinieneś.

Więc nic nie jest za darmo, za wszystko się płaci. Wysoka blondyna, która się do was uśmiecha zza ramion swojego faceta, tak naprawdę nie kieruje do ciebie swojego olśniewającego uśmiechu, tylko do pozłacanej szyjki dwulitrowej butelki Cristala, która wystaje z wiadereczka z lodem ustawionego przed tobą. Ten facet o ufnych ramionach nie jest jej facetem, ale jej alfonsiem. A jednak uważałeś ją za piękną, byłeś nią oczarowany, uniesiony, w siódmym niebie (troszkę już wypięś). Ona tam była, była blondynką, uśmiechała się do ciebie. Przywołujesz na twarz jakiś mały, przyjazny grymas i wyciągasz do niej kieliszek. Gdzieś w głębi masz nadzieję, że ona go nie przyjmie i że będziesz mógł pomarzyć o posiadaniu z nią dużego, białego domu w stylu willi Montmorency, gromadki hałaśliwych dzieci, a to wszystko upiększone gubiącym sierść psem. Ale jednak masz nadzieję, że machając rzęsami, zgodzi się i że wszystko pójdzie gładko. Zabierzesz ją do siebie, gdzie będziesz mógł zaliczyć numerki. Tak więc przyjmie twój kieliszek, a jej facet-alfons rozplynie się w uprzejmościach, a ona usiądzie obok ciebie przy stoliku i reszta już jest tylko twoja.

Ten klub to świat bardzo zamknięty. To właśnie jest w jego funkcjonowaniu najbardziej podłe, najniższe, oparte na handlu dupą i pieniądząch. Siedzę na krześle, a w moim polu widzenia są same dupy. Dupy dziwek są ich paszportem, więc trzeba je wystawiać na pokaz, i te wielkie dupy tych, co płacą za butelki. Z grubymi portfelami wypychającymi prawą kieszeń. Dupa, kasa, dupa, kasa; rzygać mi się chce od tego.

Klientela jest ciągle na bieżąco. Nowobogacy ciągną za sobą swoich klientów w porsche, kupują im prezenty u Diepa, w Barfly i nazywają ich słodko darmozjadami. Tych jest pełno: tandetne modelki, fartowni mieszkańcy przedmieść, splukani szpanerzy... Męt nocnego świata, który nie jest już tak chwalebny. Podła symbioza. Darmozjad, w zamian za tryb życia, którego nie byłby w stanie wieść sam, wspomagany przez damską i męską hordeę sobie podobnych, okraża bogatego, brzydkiego i nieznośnego człowieka, zaspokajając jego upodobanie do dominacji, którego z braku charyzmy nie może praktykować na swoich pobratymcach. I taki używa sobie od wieczora do rana, a jeśli nie, to żegnajcie cielęta, krowy, świnię, kurczęta...

Darmozjad jest łatwo rozpoznawalny po tym, że nigdy nie siedzi; zawsze nienagannie ubrany, ale spójrzcie na niego z tygodnia na tydzień – nie przebiera się. Zna cały klub (lepiej

wiedzieć, co się dzieje), zna wszystkie dziwki (wykonują przecież ten sam zawód), cuchnie ryszotkiem i słoma mu z butów wyłazi... Tymczasowi dealerzy, pewni naganiacze, organizatorzy kretyńskich kolacyjek i imprezek z dziewczynami, nie wystarczy być obecnym, jakakolwiek przydatność jest mile widziana. Trzeba by ich widzieć surfujących na falach pieniędzy, próbujących zebrać trochę pianki. Fuj! Po rozejrzeniu się po całym klubie ze swojej łoży, gdzie wkręcił swoją zarozumiałą dupę, natręt wróci do nędznego pokoiku. Położy się i będzie próbował zasnąć, licząc pęknięcia na suficie. Bezskutecznie jednak (z powodu tego, co wciągnął do nosa na koszt kogoś innego).

Kiedy nocą jednemu z nich uda się złapać jakąś dziedziczkę, to sukces. Moja siostra wykręciła mi taki numer dwa lata temu. Pamiętam te nieziemskie wysiłki faceta, który próbował jak najlepiej wypaść w moim salonie. Całe szczęście, że mama była w Deauville i że nie widziała tego niezłego palanta szorującego swoimi schodzonymi Nike'ami po jej perskich dywanach... Najgorsze było to, że moja siostra zabujała się w nim. Siostra z byłym dealerem, recydywistą, który jeździł wynajętym smartem lub pożyczonym 993 i wciskał kit na temat swojego BM, które rzekomo rozwalił tydzień przed poznaniem Gabrielli. A ona biedna mu wierzyła... Mój ojciec nie wtrącał się, aż do momentu, kiedy Gabriella świsnęła mu kartę Am Ex Black i pobiegła do sklepu Rolexa, żeby kupić dla tego durnia Daytonę za sto tysięcy. Tatusz przywrócił ją do pionu, zagroził, że odeśle do Rosay i oświadczył, że nie dostanie na swoje osiemnaste urodziny Rav4. A jeśli istnieją dwie rzeczy, które Gabriella ubóstwia ponad wszystko, to samochody i drażnienie koleżanek. Dzięki tej kupie gówna mogła upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i w końcu zrezygnowała ze swojego ulicznego Don Juana. Odszedł z podwiniętym ogonem uganiać się za innymi panienkami z „de” przed nazwiskiem.

Zrujnował była najlepszą koleżankę Hell, która potem próbowała popełnić samobójstwo, i osiadł w Punta del Este. Co za ulga!

Cały lokal to jeden wielki wabik. Dziewczyny naprawdę nie są zmurszałe. Wszystkie jak żywe wyjęte z katalogu Calvina Kleina, tylko świeżości mało i niestety dużo paplaniny. Mój pomysł na ideał: milcząca modelka. Piękne, dobre i głupie. Wzniosłej harmonii ich boskich ciał dorównuje tylko ich sprzedajność. Ich oczy błyszczą jak u Sknerusa, kiedy wypatrzą w ciemnościach klubu błysk złotej karty kredytowej. Wiedzą zresztą również, że złoto i pieniądze są nierozdzielalne, i że karta Gold zawsze idzie w parze z przyprószonymi siwizną skrońmi. Cóż z tego... „Ile masz lat? – Sześćdziesiąt dwa. – Powiedz mi, czym jeździsz, a powiem ci, kim jesteś. – Bentley. – Jesteś mężczyzną mojego życia”.

Dziwki.

Między stolikami przebiega trasa, której towarzyszy niepokój węchowy i społeczny. Laski wydają się automatycznie gubić dwadzieścia centymetrów, a to, co tracą na wzroście, odrabiają w obwodzie... Są tam wszyscy, których figura wymknęła się czujności, nie rozumieją nic z tego, co się dzieje, i zgromadzili się dzięki instynktowi stadnemu. Piękne stado palantów! Udają euforię na samym środku, wystawieni na pobłażliwe spojrzenia very *important persons*, którzy karmią się porównaniami. Znużeni, usiłują pokazać wszystkim uśmiechniętą twarz. Tańczą, śmieją się, odurzają. Na próżno usta rozciągają się od ucha do ucha, oczy pozostają puste. Zmuszają się za wszelką cenę, ależ świetnie jest bawić się w Cabarecie! Moim marzeniem byłoby, żeby nagle ucichła muzyka i zamiast niej było słycać myśli tych ludzi. I jednych, i drugich: ukryte urazy, wstydlive sekrety, kto chce przelecieć kogo, a kto kogo już przeleciał... Bo nie zdajecie sobie nawet sprawy, jak bardzo to się kręci. Wszyscy pieprzą się ze wszystkimi, wielka orgia! To jest dalekie od tworzenia związków, możecie mi wierzyć: są dziewczyny, które przeleciałem, a którym potem ledwie mówię „dzień dobry”. Mówić „dzień dobry” – beznadziejny rytuał! Przychodząc gdzieś, traci się pół godziny na odwalenie dwóch mechanicznych całusów w zakłamane policzki, należące do dupków, których mamy gdzieś, nie mamy im nic do powiedzenia, których w każdym razie widzieliśmy wczoraj i zobaczymy jutro.

Już nie mogę wytrzymać w tym śmiesznym tłumie. Na pierwszy rzut oka robi wrażenie: faceci w garniturkach, nieźle wyglądające dziewczyny, i ten zapach różnie zdobytej forsy. Ale przyglądając się temu bliżej... Dziewczyny są generalnie raczej brzydkie, wystrojone w ciuchy modelek, w których wyglądają śmiesznie. A ci zarozumiali goście – głowa przyśrubowana na 45 stopni, podbródek jeszcze bardziej wyniosły niż oczy, usztywnieni w gorsecie swojej sztucznej ważności. Zdejmijcie z nich garnitury Hugo Bossa wypchane w ramionach, brykę klasy S, rolexa, a z tego imponującego wizerunku niewiele zostanie. W zamian otrzymacie gołego chudzielca o niewyraźnym spojrzeniu i nijakim wyglądzie, zbyt zagubionego, żeby się odnaleźć bez swojego przebrania potężnego faceta.

Jestem tu od dwóch godzin i już mam dość. Dość udawania, że się świetnie bawię, obnoszenia z dobrym humorem, do którego mi daleko. Dość tych chciwych oczu, które pełzają po mojej twarzy i zatrzymują się na moim zegarku Audemars Piguet.

Na fotelu, który zajmuję, skóra jest rozpruta i biały materiał wychodzi na wierzch. To jest właśnie Cabaret, wszystko wypchane złej jakości materiałem pokrytym imitacją skóry. Symbolika. Uświadamiam sobie, że mam tylko ochotę na jedno: wyjść stąd. Samotność jest lepsza od tej udawanej zabawy. Siedzieć samotnie i myśleć o Hell.

Cielece oczy przyjaciół wyrażają totalne zdumienie.

– Co ty? Przecież jest dopiero w pół do trzeciej i właśnie wszystko się rozkręca!
„Właśnie wszystko się rozkręca!”, banda imbecyli. Opuszczam to potępione miejsce.
Ostatnie spojrzenie na przepełniony klub i zauważam ją.

Ubrana jak dziwka; ma pasek, który jej podarowałem. Stoi na krześle ponad tłumem ludzi, kołysząc biodrami, nie przestaje wciągać.

Jest między Julianem i Chrisem i obejmuje swoją kumpelkę Victorię, której nie mogę znieść. Śmieje się, klaszcze, wypija połowę szklanki jednym łykiem. Później kącki jej ust obniżają się i dostrzegam przez moment wyraz rozpaczony w jej zamglonych oczach, zanim znów przybierze maskę radości. Tylko ja to wiem. Przez chwilę mam ochotę podejść do niej i wyrwać ją z tego miejsca, ale nie mogę.

Wychodzę. Bez pożegnania, bez odwracania się. Na zewnątrz powiew świeżego powietrza uderza mnie w twarz. Wdycham je z rozkoszą. Patrę na niebo, myśląc o tych wszystkich ludziach, którzy śpią i jestem bardzo zadowolony, idąc w ich ślady. Zapalam papierosa.

Odkrywam nowy sens w każdym swoim ruchu. Czuję się wolny. Urywany odgłos moich kroków po oblodzonej jezdni, blask latarni i jeszcze otwartych restauracji. Parkingowy pyta, czy wszystko gra. Daję mu stowę, taka odpowiedź go satysfakcjonuje. Wymuszam uśmiech, podczas gdy on życzy mi dobrej nocy. Siadam za kierownicą mojej bryki. Na chodniku naprzeciwko dwie laski spoglądają na młodego kierowcę porsche, na mnie. Sprzedajne dziwki! Przejeżdżając obok nich, wjeżdżam w kałużę i ochlapuję je. Jestem na ulicy Rivoli. Puściłem moje ulubione płyty, house przywieziony z Ibizy, składanki Buddy; ale po włączeniu przygnębiają mnie. Więc zmieniam na oryginalną ścieżkę z *Cruel Intentions*, nr 9.

To Hell dała mi tę płytę. Słucham jej w kółko i nie nudzi mi się. Smutne. Taki też jestem. Ale nie tylko. Również spokojny, tak jak już od dawna nie byłem. Paryż defiluje przed moimi szeroko otwartymi oczami. Postanawiam nie wracać od razu do domu i pojeździć po stolicy. Trzecia rano. Mogę dociskać zupełnie bezpiecznie. Trzeba tylko uważać na gliniarzy.

Kocham Paryż. Okazałe budynki, seria białych światełek w mieście, które nigdy nie jest zupełnie ciemne. Patrę przed siebie. W niewielu mieszkaniach się świeci. Wizja obrazów, luster. Ochota na zwiedzenie tych pomieszczeń, które nie należą do mnie. Może tam są szczęśliwi ludzie?

Jadę sto pięćdziesiąt. Nie wiem, przed czym uciekam ani za czym gonię. Szybkość mnie upaja. Jutro wszystko się zmieni. Mam już tego dość. Już nie mogę. Każdego dnia

ścigać jakiś cel, który nie istnieje. Odurzać się, ćpać, bawić się, pieprzyć się, chodzić po knajpach, chcę zerwać ten piekielny łańcuch. Jutro rzucam kokę, znajduję sobie jakieś zajęcie. Chcę mieć po co rano wstawać. Jutro pozbędę się mojej kretyńskiej dumy, która niczemu nie służy. I wyznam Hell prawdę, powiem jej, jak bardzo ją Kocham, i że nigdy nie przestałem jej kochać.. A, jeżeli okaże się, że ona ma to gdzieś, to przynajmniej będę wiedział. Będę mógł zająć się czymś innym, przestać się torturować, będę żył... Najwyższy czas. A jeżeli ona nie ma tego gdzieś... Jutro nie będzie takie jak wczoraj, jak dziś, jak wszystkie zepsute dni mojego marnego życia.

Jutro być może będę z Hell.

Czerwone światło. Plac Concorde. Zawsze pusto. W każdym razie nie mogę się zatrzymać. Jadę zbyt szybko. Czarny samochód po lewej. Jedzie równie szybko. Najpiękniejszy moment piosenki. Mam tylko czas, żeby podgłośnić na maksa, zanim czuję, jak wybuchają przednia szyba, wybuchają drzwi i ja...

Jutro byłby inny dzień... podobny.

Rozdział 12

Kwiatów na swych łodygach senne wirowanie...

Czwarta rano, wychodzimy z Queen, a ja jestem nawalona. Nie mogłam zostać ani minuty dłużej w tym gównianym klubie, zbyt dużo ludzi, ten nieznośny zaduch, nic, tylko nieprzyjazne twarze, wszyscy ci kretyni, którzy mają ochotę tylko na jedno: przelecieć mnie. Ten producent filmów porno, który mnie prześladował ze swoją paczką i proponował mi kasę, A. kompletnie rozdarty i wszyscy najbardziej podejrzani faceci Paryża przy trzech stolikach w trakcie picia, wciągania i polykania. Chris podał grama Victorii, to normalne, on z nią chodzi, i poszliśmy we dwie wciągnąć kokę w kiblu. Była żółta i doprawiona, nie wiem czym, tak, że szczęki mam teraz tak ściśnięte, że ledwie mogę mówić. Pięć osób zaproponowało imprezki Victorii, Lidii i mnie, ale my wrzasnęłyśmy, bo nie jesteśmy typem dziewczyn do robienia imprezek, i wyszłyśmy z Chrisem i Julianem, żeby pójść do Ritza, do apartamentu jednego z ich przyjaciół-miliarderów. W ostatniej chwili ojciec Sybilli, od którego wyciągałam kokę przez cały wieczór, wcisnął mi do ręki wielką paczuszkę, a ja postanowiłam, że się nie podzielę z Lidią i Victorią w tym sprzyjającym momencie, w przeciwnym razie wezmą wszystko i nic mi nie zostawią.

Jestem naćpana. Victoria też. Lidia też.

Każdy z nich śle zapachy niczym kadzielnica...

Wychodzimy z Queen, zimne powietrze trochę mnie otrzeźwia, uspokajam się. Sądzę, że się uspokajam. Za każdym razem kiedy biore, mówię sobie, że to ostatni raz, bo łapię po tym jakieś okropne schizy, i każdego dnia zaczynam od nowa, od nowa i od nowa. Teraz mam wrażenie kontroli, ponieważ wyszłam z klubu i jestem z przyjaciółmi, którzy nie chcą dla mnie źle, ale jeśli okaże się inaczej, nie będę już miała kontroli i stanie mi się coś okropnego, nie wiem co, ale boję się. Julian bierze mnie na ręce i niesie aż do Warwick, gdzie zaparkowany jest samochód, a Lidia ma ochotę mnie zabić, wiem to, jestem tego pewna, bo ona jest zakochana w Julianie, który wczoraj wieczorem ją przeleciał i który ma ją głęboko w dupie. Wcześniej wypiłam koktajl o nazwie *screaming orgasm*, ale nie jestem w stanie przypomnieć sobie gdzie. Zastanawiam się też, jak koka, która jest tylko substancją, może

wywoływać jakiś efekt w moich myślach, które są przecież abstrakcyjne. W każdym razie, nie chcę nic od Juliana, to idiota, ćpun i zamierza mnie przelecieć.

Victoria i Lidia idą za nami, nie lubię tego. Podczas gdy parkingowy wyprowadza samochód Juliana, prawie wjeżdża w nas wielki mercedes. Dwóch niezłych, dwudziestopięcioletnich gości, jestem pewna, że zrobili to specjalnie. Victoria zrzuca swój płaszcz z czerwonej skóry i wyciąga się w wieczorowej sukni na masce mercedesa. Przyciska piersi do przedniej szyby i krzyczy:

– Ej, panowie, odstawcie mnie do domu!

Samochód rusza, zrzuca Victorię, która przewraca się na mnie, a ja łapię ją, chociaż nie mam na to ochoty. Ponieważ zdaję sobie dobrze sprawę, że Chris blednie, i że mogliby nas tu zostawić na pastwę losu przez te jej odchyły.

Julian siada za kierownicą pięknego ML 55 AMG o rejestracji MAD 75. Zastanawiam się, skąd on go wytrzasnął, skoro nie ma ani grosza. Pytam więc o to, on marszczy się i nie odpowiada, w każdym razie wkurzyłam go. Wsiadamy, Victoria, która papla coś obok, zatruwa mnie oddechem zmieszonym z whisky i jej zbyt ciężkimi perfumami Mugler, przeżartymi przez dym i szampan, którymi przesiąknięte jest jej ubranie.

Dźwięków i aromatów jedność nas zachwyca...

Aż do Ritza nie wiem, o czym rozmawialiśmy, pamiętam tylko Victorię wymachującą torebką Fendi i bełkoczącą:

– Popatrzcie na to piękne dzieło włoskiego designu!

– Zamknij gębę, Victoria, zamknij gębę!

– Pierdol się, dziwko!

Na co Julian:

– Hell powiedziała, żebyś się zamknęła, Victoria, więc zrób to!

Później Lidia otwiera drzwiczki przed sklepem Gucci'ego, próbując wysiąść z jadącego samochodu, podczas gdy ja z Victorią wybuchamy śmiechem, a Chris nabiera sporo koki na klucz. Haniebnie zakłócamy spokój ulicy Saint-Honoré. Zapalam lucky strike'a, te obrzydliwe szlugi, które sprzedano mi w Queen. I nagle to okropne objawienie, które wszystko rozwała, ale jestem go absolutnie pewna i po którym nic już nie będzie takie samo: jeżeli bogaci nie są szczęśliwi, to dlatego, że szczęście nie istnieje.

Plac Vendôme, wytaczamy się z samochodu, mamy gdzieś spojrzenia parkingowych. Przechodzę przez drzwi, które otwierają się bez problemu, i nawet jeden mięsień na twarzy

portiera nie porusza się, kiedy Chris podaje mu numer pokoju i nazwisko, hasło: Derek Delano.

Muzyka w windzie zakłóca atmosferę, wrzeszczę, że Matisse w korytarzu to imitacja, i że się tu z nas nabijają.

Wchodzimy do jednego z najpiękniejszych apartamentów w hotelu – trzysta metrów kwadratowych pozłoty, parkietów, luster i widok na kolumnę Vendôme. Wszystko to mnie przygnębia.

Przyjmuje nas pupil pana tego miejsca. Na imię ma Mirko i informuje, że Derek Delano śpi, i nie należy go budzić. Później na niskim stoliku otwiera skrzyneczkę z inicjałami, nigdy w życiu nie widziałam tyle koki. Podczas gdy on rozdziela działki za pomocą karty Am Ex Black, ja mam okazję, by go poobserwować. Jest wstrętny, żadnego śladu żrenic w jego rozmazanych niebieskich oczach, ogromne bicepsy, zgrymaszona twarz, problem z wysławianiem się (zjada połowę słów i zapomina o umieszczaniu w zdaniach czasowników).

Zajmujemy miejsca. Zaczyna wrzeć: Lidia, która manewruje tak, żeby być jak najbliższej Juliana, Victoria tańcząca na środku pokoju, Mirko nadal dzielący z zapalem kokę i Chris szukający czystych szklanek i pełnych butelek.

Walca melancholijne, błogie kołysanie.

Dzwonię do room service, zamawiam Big Maca, słyszę oburzenie w głosie recepcjonisty, który mówi, że to niemożliwe, więc zamawiam pierdoły takie jak: marlboro light, maliny, czerwonego Cristala i biały kawior, ale go nie mają (nie wiedzą nawet, co to jest), zadowolam się więc Bielugą.

Mirko, który właśnie kończy dzielenie dziesięciu gramów koki i uświadamia sobie, że dla sześciu osób to bez wątpienia wystarczy, wstaje i puszcza *Just a little more love* z płyty Davida Guetty.

Skrzypiec drżenie, jak serca bolesne wzdychanie.

Zaczynam mieć czarne myśli. W tym otoczeniu rozgorączkowanie sięga zenitu, czuję moje napięte nerwy, serce bije mi zbyt szybko, gorzki smak między zaciśniętymi szczękami, podnoszę oczy do nieba, by tam szukać pomocy.

Niebo smutne i piękne jak strojna kaplica.

Znajduję tylko wielki, wiszący, kryształowy żyrandol. Wejście room service'u przerywa moją *bad trip*. Nie miałam żadnej ochoty na kawior, biorę tylko paczkę fajek, zapalam jedną i obserwuję Victorię, która zapomniała najprawdopodobniej, że chodzi z Chrisem i wrzeszcząc, siada Julianowi na kolanach. Stanik wychodzi jej spod sukienki, która rozpięła się w ogniu akcji i kompletnie obnażyła trochę zbyt masywne uda.

Nie miałam ochoty przyjeżdżać.

Serce, które przeraża bytu tajemnica.

Obserwuję Lidie, która się rozkleja, bo zdradzona przez swojego bożka nie wie już, któremu świętemu ma się oddać. Zła, próbuje zbliżyć się do Chrisa. Ona klęka, on stoi, ona kładzie ręce na jego biodrach i podnosi do niego oczy. On oswobadza się jednym ruchem, zachowując kamienną twarzą. Mam ochotę się śmiać. Tylko ochotę.

– Victorio – wymawiam delikatnie. – Jest koka.

Podskakuje rozczochrana i na wpół naga.

– Gdzie?

Zauważa Mirko, przygotowującego działki. Przeskakuje fotel, o który zaczepia, pada na kolana, rozdierając sukienkę i wsadza cały nos do środka. Zapieprza wszystko. Słyszę, jak chciwie wciąga. Lidia do niej dołącza i przez kilka następnych minut nikt nic nie mówi. Ożywiają się, zgięte w pół z trzęsącym się karkiem.

Victoria zmieniła cel, to Mirko ma kokainę, to jemu teraz okaże swoje zainteresowanie. Ponieważ ona zawsze chce więcej i zrobiłaby wszystko dla nieszczęsnego grama. Głaszcze, obściskuje i obcałowuje tego obrzydliwego czterdziestolatka, usilnie go namawiając, żeby wyłożył swoje zapasy. Ten wydaje z siebie jakieś ciche protesty. Chris, za plecami Victorii, rozsiada się przed pozostałościami po orgii. Opróżnia wszystkie butelki do dna: whisky, gin, tequilę, białe martini, a między jedną a drugą wciąga ścieżkę. Victoria wrywa mi butelkę Cristala i chce mu ją podać, on gestem odmawia, a ona, zadowolona, sama przytyka sobie szyjkę do warg, przerywając od czasu do czasu, by, mając usta pełne bąbelków, wydać z siebie nieskładne pomruki błogości.

Lidia nie traci kontroli i rzuca się na Juliana. On uwalnia się z jej niechcianego uścisku, przechodzi przez pokój i usadawia się w fotelu obok mojego. Pyta, jakich perfum używam. Używam Allure od Chanel, stwierdza, że do mnie pasują, krótko mówiąc, coś do

mnie mówi, a ja odpowiadam, że nie biorę pod uwagę pieprzenia się dziś wieczorem. Z nikim. Lidia, z wykrzywioną z wściekłości twarzą, wyzywa Juliana i mówi mu, „że ma go w dupie, ma go w dupie, ma go w dupie”. Jest głupia i prostacka, i żalosna, i działa mi na nerwy. I biorę sobie dwie czy trzy działki.

Dźwięków i aromatów jedność nas zachwyca.

Zaczynam mieć dosyć. Korzyścią takich wieczorów jest naćpać się i dać się naćpać. Już jestem wystarczająco naćpana, i jak tak dalej będę robić, to nie wiem, co się ze mną stanie. Ale dopóki koka jest na stole, nie przestanę. Biorę wszystko, a wściekła Victoria rzuca się na mnie. Nie zostało nic z dziesięciu gramów, a Mirko z pewnością nie przewidział, że z nas takie odkurzacze.

Victoria ciągnie Mirka do jakiegoś pokoju i tłumaczy mu, że jeśli Bóg stworzył kokę, to po to, żeby była dzielona równo między wszystkie swoje owieczki. I słyszę go, jak wrzeszczy: *No coke anymore, now, orgia everywhere!*

Wzruszam ramionami i postanawiam pozwiedzać, przechodzę do innego pokoju i nadeptuję na coś... To Lidia, której nie widziałam, bo pokój jest pogrążony w ciemnościach, leży na politurowanym parkiecie, jak kupa gówna porzucona tu przypadkiem... Mój obcas, wbijający się w jej kostkę, musi być tą kroplą, która przebiera miarę, bo w momencie, kiedy zabieram się do wybełkotania przeprosin, moje bębunki, i tak już okrutnie doświadczone w Queen, przeszywa bardzo ostry krzyk, po którym natychmiast następuje kaskada ochrypłych czkań. Biedna dziewczyna podnosi ku mnie twarz Parki. Bruzdy w jej zbyt grubym makijażu, wyżłobione przez potoki łez, nadają jej groteskowy wygląd, jakby nieszczęśliwego klauna.

– Wszyscy chcecie mnie zabić!

Zostawiam ją w tej paranoi i idę dalej, wchodzę do łazienki.

Działa jacuzzi, ale nikogo w nim nie ma, siadam na umywalce, tyłem do lustra, i macham nogami w powietrzu.

Zakończę tę noc w samotności.

Widziałam go dziś wieczorem. Przez chwilę. W momencie, gdy wychodził z tej głównianej dyskoteki, do której poszłam tylko po to, żeby go zobaczyć. Przyszłam mu powiedzieć: „kocham cię”, tylko „kocham cię” i „wrócisz?”. Patrzyłam na niego, chciałam do niego podbiec... Lecz jego oddalające się plecy miały w sobie coś fatalnego. Zostałam, przykuta w miejscu, z kieliszkiem szampana drżącym w dłoni, i pozwoliłam odejść marzeniu, wmawiając sobie, że tak jest lepiej.

Prześladuje mnie nasze ostatnie spotkanie. Wrażenie popełnienia czegoś nienaprawialnego.

Świt, światłocień, wszelkie uczucie zakazane. Moje ubrania leżą porozrzucane wokół łóżka. Z poduszki emanują zapachy, które nie są jego. Mieszają się na niej niechciane zwierzenia, Kochamy się bez radości. W chłodnym mroku on się oddaje, ja milczę. Godzinna bliskość, rozproszone jutro, wszystko jak spirale dymu z tego papierosa palonego po rozkoszy, którego czerwony koniec ledwie oświetla żalną scenę miłości zmienionej w nienawiść. Daleki pogłos, jakiś mężczyzna, jakaś kobieta, śpiewają sobie wzajemną namiętność, którą my brudzimy naszym niefortunnym zjednoczeniem, bezdusznym Kochaniem się. Zabijają mnie odważne kłamstwa, wygłaszane w tym łóżku, które widziało narodziny naszego zgubionego szczęścia. Na dworze i wewnątrz jest cień i noc, wyznaczam sobie rolę skończonej dziwki, chcę by jego serce krwawiło. On odchodzi, z podniesioną głową, a moje serce zamiera. W uśpionym Paryżu rozbrzmiewa jedynie szmer moich łez, które oplakują niepewność mojego życia... moją rozpacz... niezmienną rozpacz za cenę kilku chwil radości...

Andrea...

Serce, które przeraża bytu tajemnica...

Chwyta błogiej przeszłości każde zawołanie...

Milknie muzyka i nagle, z salonu, skąd dochodzą niewyraźne krzyki, unosi się dziewiąta piosenka z oryginalnej ścieżki Crue7 *Intention*, pieśń początku czasu, miłości, z której jeszcze nie robiłam ofiary. Myślę o nim pogodna, on zaintrygowany, przyciągany, magia pierwszego pocałunku poprzez moje prorocze łzy. Myślę o tej iskrze, która lśni w jego oczach. Jego głos, jego dziecięcy grymas, jego zawsze opanowana złość. Już nie jestem w zawieszaniu, w tym apartamencie z tymi wszystkimi naćpanymi ludźmi, czekając na powrót do mojego łóżka i mojego smutku. Jestem w moim salonie, rok temu, i widzę zrozumienie w oczach Andrei, zafascynowanego tą muzyką, której smutne echa przepowiadały nasz koniec.

Skrzypiec drzenie, jak serca bolesne wzdychanie.

Gaśnie światło.

Słońce się utopiło w swej krwi oceanie.

Wszedł właśnie Julian i zbliża się do mnie. Bierze mnie w ramiona, a ja myślę o innych ramionach. Gdzie jesteś, mój ukochany? Czy śpisz jak dziecko w swoim dużym, białym łożu? Czy są tam jakieś ramiona, które tak jak mnie, obejmują cię, i z których nie możesz się uwolnić? Jakież usta, które poszukują twoich, jakiś oddech, w którym usiłujesz odnaleźć mój? Zamykasz oczy i myślisz o mnie. Twoja twarz obok mojej, twoje rzęsy muskające moje czoło. Odtwarzam po omacku twoje rysy, pieszcząc je delikatnie. Twój nos. Twoje oczy. Twoje usta. Twoje usta... Nasze wargi, łączące się w niewypowiedzianym pocałunku. Coraz szybciej, coraz mocniej. Bierzesz mnie i unosisz ze sobą. Mam zamknięte oczy, ale to mi nie przeszkadza odrywać guziki twojej koszuli, łamiąc sobie na nich paznokcie. Jest jak zawsze... Odchylam głowę do tyłu i śmieję się, śmieję się z radości, ze szczęścia bycia z tobą, przy tobie. Nasze splecione nogi, twoje wargi palące moją szyję. Jedna ręka w twoich włosach, drugą dobiera się do twojego paska i wyrzuca go, z całą resztą, w odległy kąt. Spieszę się i ty też. Nienazwane wygibasy, żeby pozbyć się moich dzinsów, nie przestając cię całować. Mam wrażenie, że jeśli cię stracę na chwilę, stracę cię na zawsze. „Kocham cię”, krzyczą moje mięśnie, naprężone wysiłkiem, byś osiągnął najwyższą rozkosz. Posiadam cię całkowicie i jestem twoja, i jestem szczęśliwa.

Otwieram oczy. Twarz Juliana, dysząca dwa centymetry od mojej. Jego ręce na mnie. Siedzę na brzegu jacuzzi, on stoi.

– Spadaj! Spadaj! – to ja krzyknęłam.

On nie rozumie. Zbiera swoje ciuchy i znika, zamykając za sobą drzwi. Jestem naga na tym gównianym jacuzzi. Zasłony rozsunięte, widzę wschodzący świt. Mój rozbity sen wypełnia mi gardło, palące łzy zalewają mi twarz. Nie wiem, jak długo tu zostanę, płacząc w ciszy, rozpamiętując moją rozpacz. Wyciągam zwitek z kieszeni dzinsów, muszę go czymś roztrzaskać. Obok umywalki jest coś w rodzaju lancetu. Wystarczy, że wyciągnę rękę. Moje palce zaciskają się na ostrej blaszce, trzonek jest gruby. Kładę zwitek i miażdżę go z całych sił. Pęka. Taki nic nieznaczący biały pył. Ból rozluźnia moje skurczone palce, narzędzie spada na ziemię z metalowym brzękiem. Nacięłam wewnątrz dłoni, mam krew tak czerwoną jak suknia od Valentino. Krople kapią i tworzą wzdłuż mojego przedramienia szkarłatną arabeskę. Czerwone promienie słońca plamią mój nieskalany towar. Widzę w tym znak. Nie ma rurki. Jakaś szuflada pełna zielonych papierków. Delikatnie zwijam jeden z nich. Tyle razy braliśmy razem. To trochę jakbym z nim była. Wsuwam rurkę do lewej dziurki nosa, potem do prawej. Później znów do lewej... Biorę wszystko. Wszystko... Z odrobiną szczęścia zdechnę od tego. Siadam z powrotem. Jedna sekunda. Jedna sekunda, podczas której czuję się tak dobrze. Tylko jedna. Sytość. Zapomnienie. Podnoszę głowę. Lustro naprzeciwko mnie. Ta

dziewczyna o błędnych oczach, porzucona na jacuzzi, w ręce jakiś zmięty papierek, na podbródku ślady koki, rozrzucone włosy... I moje łzy, które nie przestały płynąć. Dziewczyna wstaje, wkłada dzinsy, zapina nabity ćwiekami pasek, ubiera się, zapala papierosa. Chwieje się na niepewnych nogach. Opuszcza pomieszczenie.

Przechodzę przez pokój. Lidia, leżąc cały czas w tym samym miejscu, usnęła. Wygląda jak dzieciak. Krzyki rozkoszy. Victoria... i Chris. Albo Mirko. Otwieram drzwi do drugiego pokoju. Obaj.

Moja torebka została w salonie. Biorę ją. Słyszę cały czas moją piosenkę. Gardło mam jak z marmuru i metalu. Moje kroki po parkiecie robią potworny hałas. Trzaskają drzwi. Jest winda. Hol, recepcja, drzwi. Jestem na zewnątrz. Nikogo nie ma. Szukam taksówki. Taksówki nie ma. Świt jest lodowaty. Dzwoni moja komórka. Mam wiadomość. Czego może chcieć Gabriella o tej porze? Strach ściska mnie za gardło. Zdrętwiałe z zimna palce nie są zdolne nacisnąć na ten kurewski przycisk. Wreszcie wyświetla się wiadomość. Jedno zdanie. Tylko jedno. Czytam je. Czytam je jeszcze raz. Za dużo przeplakałam, już nie mogę.

Padam na ziemię. Na placu Vendôme o siódmej rano. Dziewczyna na kolanach, która gryzie swoją zakrwawioną dłoń. I która krzyczy. Krzyczy jakąś niezrozumiałą skargę. Jakby rozpacz przybrała formę. Formę krzyku. Krzyczę o końcu jakiegoś marzenia, krzyczę o końcu świata. Krzyczę o końcu człowieka, którego kocham, a który się rozbił jak kretyn, wychodząc z dyskoteki, w swojej bryce za pięćset tysięcy franków, która nawet nie było w stanie go ochronić. Śmierć na miejscu. Śmierć. Krzyczę o okrutnej rzeczywistości tego gównianego życia, które daje i odbiera. Krzyczę o tym, co przeżyliśmy, o tym, co mogliśmy jeszcze przeżyć. Krzyczę o tym, kim on jest. Był. Kim mógłby się stać. Krzyczę o mojej rozpacz, bólu, mojej miłości, mojej miłości, mojej miłości...

Twoje wspomnienie płonie we mnie jak

gromnica.

Rozdział 13

Ludzkość cierpi. Świat jest jedną wielką równiną po rzezi, usłaną konającymi, którzy wiją się i charczą. Człowiek, „ludzie” błąkają się bezimienni i pod swymi niewzruszonymi minami ukrywają otwartą ranę.

Szczęście... Człowiek widzi tylko jego pozory, te, które usiłuje mu dostarczyć sąsiad. Lecz niech nie wścieka cię szczęście sąsiada. On jest pedofilem, maniakiem heroiny i schizofrenikiem. A ponadto wścieka go obraz harmonii, którym ty i twoja rodzina nieustannie go bombardujecie. On nie wie, że żona cię bije i że twoje dzieci nie są twoje.

Szczęście jest optyczną iluzją. Dwa lustra, które wysyłają sobie ten sam obraz w nieskończoność. Nie próbuj dotrzeć do początkowego obrazu, nie ma go tam.

Nie mów, że szczęście jest ulotne. Ono nie jest ulotne. Uczucie odczuwane i brane za szczęście, kiedy jest się zakochanym, kiedy coś się udało, to odroczenie przed zrozumieniem pomyłki: istota kochana jest nic nie warta, to, co ci się udało, nie ma sensu. To nie czyni cię nieszczęśliwym, lecz świadomym. Szczęście się nie kończy, ono ulega zmianom.

Wymyśliliśmy światło, by zniweczyć ciemność. Umieściliśmy na niebie gwiazdy, na ulicach postawiliśmy co dwa metry latarnie. I lampy w naszych domach. Zgaś gwiazdy i wpatruj się w niebo. Co widzisz? Nic. Stajesz w obliczu nieskończoności, której twój ograniczony umysł nie może pojąć, i już nic nie widzisz. A to cię niepokoi. To niepokojące stać w obliczu nieskończoności. Nie martw się; twoje oczy zawsze zatrzymają się na gwiazdach, które przesłaniają ich widok, i nie dojdą dalej. Dlatego też nie znasz pustki, którą one ukrywają.

Zgaś światło i otwórz szeroko oczy. Nic nie widzisz.

Tylko ciemność, którą raczej przeczuwasz, niż ją widzisz. Ciemność nie jest poza tobą, ciemność jest w tobie.

Dźwigam przekleństwo jasności umysłu. Oczy mojego umysłu są szeroko otwarte na życie i wpatrują się w pustkę.

A jednak świeciła we mnie drwiąca iskierka nieokreślonej nadziei, która momentami sprawiała, że zapominałam o gorzkim smaku zgniętego szpiku świata. Mała, słaba iskierka, jedyna bariera między mną a autodestrukcją.

Chociaż oddana udrękom pesymizmu, otchłaniom prawdy, żyłam.

Nadal żyję.

Dlaczego? Nie wiem. Każdego ranka uwalniam się z zaczarowanych objęć Morfeusza, skamieniała na myśl o tych niekończących się godzinach, które upłyną powoli, aż znów będę mogła zanurzyć się w dobroczynnym zapomnieniu nowego snu.

Ponieważ trzeba jakoś spędzać czas i powstrzymać się od myślenia, znajduję sobie zajęcia. Najbardziej błahe z możliwych. Powierzchność jest jedynym lekiem na moje ukryte przygnębienie. Wymachuję nią ponad głowę, żeby wygnać moje zagmatwane myśli, robię z niej sztukę życia.

Mam osiemnaście lat i noszę buty firmy Prada. Jestem modnie ubraną dziewczyną. Włócę mój bezkształtny szkielet od jednej światowej kawiarni do drugiej. Co wieczór jadam w tych nowomodnych restauracjach, które mnożą się na ulicy Marbeuf i okolicach. Od *world food* chce mi się rzygać. Mój talerz wraca do kuchni, nawet go nie tknęłam.

A później wychodzę. Od dyskotek jest mi niedobrze, gorzej niż od *world food*.

Gdy uprawiam to moje światowe życie, chwieję się na nogach od mdłości mojego umysłu. A nie mogę się bez tego obejść. Przestać wychodzić... to jak przestać palić.

Mając czternaście lat, weszłam do jakiejś dyskoteki i już z niej nie wyszłam. Zostałam schwytana w piekielne tryby Nocy.

Bez możliwości ułaskawienia.

Jestem narkomanką zbytku. Ćpającą house i błyskotki.

Światowa furiatka. Niebezpieczna desperatka. Alkoholiczka i ćpunka.

Co wieczór ciągnie mnie ku mojej ułomności jak pijaka do butelki, jak hazardzistę, który idzie postawić.

Utopiłam moje złudzenia w strumieniach szampana, pogrzebałam je pod górami koki. Moja cnota rozsypała się z jednych ramion w drugie, z jednego łóżka w inne...

Odwrotna strona medalu marzenia... Kulisy wesołości... Pluję w mordę tego świata, ale on całkowicie mną zawładnął. A to jest jedyny sposób...

Nie przestanę wychodzić. Cóż zrobiłabym z moją garderobą od Gucci'ego, z moimi dwudziestoma parami kłapek Prada, z dwudziestoma parami kozaczek Sergio Rossi? Z moimi dziwkarskimi sukienkami? Nie liczcie na mnie, że je sprzedam na cel jakiejś dobroczynnej organizacji. Nie ma na nich napisu Elton John. Nie muszę zastanawiać się nad dobrymi uczynkami. Nie mam sumienia.

A jednak, dobrze mi w domu, u siebie. Błąkam się cały dzień w szlafroku, w powietrzu zatrutym górami petów po papierosach, które wypalam. Nigdy nie otwieram okna. Wolę zdechnąć zaczadzona, niż zdechnąć z zimna. Nic nie jem, nie jestem głodna. By się jakoś

trzymać biore tabletki przeciwbólowe, koniec z kacem, koniec z obolałym ciałem, koniec z migreną. Żeby się obudzić, sięgam po kokę, koniec ze zmęczeniem, koniec z depresją. Tak mijają dni od trzech miesięcy. Lubię moją obecną twarz. Policzki są zapadnięte, oczy już nie błyszczą i są podkreślone sinymi obwódkami. Moje wargi są bezbarwne i już nie umieją się uśmiechać. Tylko włosy zostały takie same – długie, ciemne i wspaniałe, jakby wchłonęły całe życie, które we mnie było. Jestem chuda i taka blada pod ultra-fioletem... Lecz lubię ten ektoplazmatyczny wygląd. Jestem alegorią mojej własnej depresji. Inkarnacją obojętności i rozpacz.

Mężczyzna, którego kochałam, umarł trzy miesiące temu.

Przedtem jako tako lubiłam życie, bo mieliśmy je wspólnie.

Przedtem lubiłam życie. Nawet wiedząc to wszystko, co wiedziałam, bo w tym bezmiarze pustki był tutaj ten, który się uśmiechał.

Dziś wielbię ducha, wspomnienie. Myślę nim każdego dnia, w każdej minucie, w każdej sekundzie... Absurdalna wytrwałość. Mogę sobie żyć, jeżeli można to nazwać życiem. Mogę się pieprzyć i imprezować... jeszcze o nim myślę.

Patrzę na ludzi, na kroki unoszące ich ku nieobecnej ostateczności... A w głębi mnie samej prześladowuje mnie jego obraz.

Znałam go lepiej niż ktokolwiek. Mieliśmy taki sam stan ducha, gardziliśmy pospolitością i miernotą, byliśmy więźniami kasy i to nas ogłupiało, i nie wiedzieliśmy, po co istniejemy.

Teraz, kiedy już go nie ma, wiem, po co istniałam.

Istniałam dla niego.

Jestem słaba i mam wrażenie, że moje ciało powoli umiera. Tylko mój pełen wspomnień umysł jest jeszcze żywotny. Wolę starannie rozważać szczęśliwą przeszłość, niż zadowalać się tą gównianą terażniejszością.

Nie zapomnę twojej twarzy, nigdy nie zapomnę twego głosu.

Zamarzam w moim bólu.

Biedny kretynie, nie mogłeś jechać wolniej.

Jestem w łazience i maluję na twarzy kolory życia. Mechanicznie nakładam tusz Chanel i puder Guerlain. Przygotowuję się. Dziś wieczorem wychodzę. Jak wczoraj i jak jutro. Do Cabaret'u, do Queen'u, do Bains, na spotkanie neurotyków. Mam wśród nich tylko przyjaciół, między szaleńcami wszyscy się rozumiemy.

Ubieram się. W czerń, w skórę, w ciuchy z klasą. Torebka Diora zwinięta matce. Moja postawa dziwki mnie zachwyca. Dziwka w żalobie. Ociekam pieniędzmi i wulgarnością. Brzydzę się sobą. Zatrzymując się przed wielkim lustrem przy wejściu, mam przeblysk wspomnień. Widzę siebie sprzed trzech miesięcy. Wychodziłam, żeby wszystko mu wyjaśnić, i oglądałam się w tym właśnie lustrze, z nadzieją w sercu, zastanawiając się, czy mu się tego wieczoru spodoba i czy po raz kolejny skończę tę noc w jego ramionach. Jednak nie skończyłam nocy w jego ramionach, a on tamtej nocy, on nigdy nie zobaczył jej końca.

Na dole czeka na mnie taksówka. Zamawiam je w firmie G7, która wysłała mi olbrzymie mercedesy. Topię moje znużenie na skórzanych siedzeniach. Przejeżdżam przez Paryż. Czerwone światło na ulicy Troca. Na jakiejś nędznej ławce ludzie czekają na nocny autobus. Ci biedni ludzie, którzy przemierzają kilometry, żeby kroczyć po pięknych dzielnicach i uszczknąć kilka obrazków naszego dostatku. Jak szczury w domu bogaczy. Spacerują po naszych bezosobowych ulicach, po pięknych alejach, nigdy nie przychodząc do nas, do naszych mieszkań, do restauracji, do naszych dyskotek. „Nie wracaj zbyt późno, przede wszystkim nie zmarznij...” Oni są jak małe dziewczynki z zapalkami...

Światło zmienia się na zielone i taksówka rusza. Wyścielana cela jedzie powoli, bez żadnego wstrząsu, i nieuchronnie unosi mnie ku mojemu życiu sybarytki. Przyjeżdżam do Cab. Są wszyscy. Jak zwykle. Tu zawsze są wszyscy. Żeby się przywitać, włączam automatyczny pilotaż. Odstawiam mój numer dziewczyny beztroskiej i otoczonej ludźmi. Tańczę z zamkniętymi oczami. Pozwalam się unieść muzyce i oparom alkoholu. Przy stoliku, gdy tylko moja szklanka się opróżnia, śpieszą, by mi znowu nalać. Wódka. Wódka. Wódka. Piję jak szewc. Co wieczór od dwóch lat. Znoszę więc alkohol jak stary pięćdziesięcioletni hulaka. Dają mi pić, bo chcą mnie przelecieć. Jednak ja zawsze odpowiadam za moje czyny. Nawet na raczkach, wymiotując na ziemi, zachowuję świadomość wszystkiego. Próbowali mi opchnąć kokę, moja jest lepsza niż ich.

Jest trzecia. Godzina pójścia do Queen. Queen to jest to, co lubię najbardziej. W części dla VIP-ów zajmujemy środkowy stół. Jest nas czterdzieścioro, stojących na stołkach, stłoczonych jedni na drugich, szepionych razem. Jeżeli jedno z nas spadnie, wszyscy spadniemy. Alkohol leje się strumieniami, przewracamy szklanki, butelki, uderzamy w stoły, skaczymy, tańczymy, szeroko się do siebie uśmiechamy, i rozdajemy sobie pełno całusów, bo się kochamy, jednak gdyby muzyka grała ciszej, nie mielibyśmy sobie zbyt dużo do powiedzenia.

Jestem zalana w trupa i tańczę na krześle. Jakieś podstępne ręce posuwają się w górę, wzdłuż moich nóg, wślizgują się pod mój stanik, tam gdzie skóra jest naga. Już mi to nie

przeszkadza.

Moja zabawa, to zamęczenie dziwek. Oblewam je szampanem, depczę ich rzeczy, moim cygarem przypiekam im ciuchy, popycham je, potracam, znieważam. One mnie nienawidzą, ale nic mi nie mogą zrobić.

Kiedy się skarżą, szeroko otwieram niewinne oczy, znieważona protestuję, a one w końcu są wyrzucane za to, że śmiały mnie obwiniać. Nie ma w tym zwycięstwa... Czuję wzbierający we mnie niepokój, nadchodzący kryzys... „Robisz ze swojego życia udrekę...” Czuję się żalosna, kiedy zdaję sobie sprawę z tego, że obserwuję wejście, spodziewając się, że zobaczę, jak nagle wchodzi. Wiem, że on nie przyjdzie, ale nie mogę się powstrzymać od czekania. I nienawidzę każdej osoby w tej głównianej dyskotecie, za to, że nim nie jest. Wstaję, zapalam papierosa. Nie zauważyłam, że już jednego miałam w dłoni. Schodzę na parkiet. Szukam jakiegoś gościa. Byle jakiego. Nieznajomego, obcego. W Queen tłumy, a ja mam wrażenie, że jestem sama na świecie. Sama. Na środku parkietu. Ten. Ten jest niezły. Mam nadzieję, że nie pedał. Nie mam ochoty wracać z pustymi rękami. Wygląda jak palant w tych swoich obcisłych džinsach i z nagim torsem. Nawet nie mam odwagi spojrzeć na jego buty. Nieważne. Idę prosto na niego. Staję przed nim. Jego koledzy śmieją się szyderczo. Pieprzę ich zdanie, prostackie głąby nawet nie z części dla VIP-ów. Patrzę na niego od dołu... Podaję mu swój kieliszek szampana... Bez słowa podnosi go do ust... Snop niebieskiego światła jest wycelowany we mnie. Moje usta wykrzywiają się w diabelskim uśmiechu.

Moje oczy się nie uśmiechają. Unoszę się na palcach, on się pochyla.

Pusty kieliszek spada na ziemię. Zgniatam go jednym uderzeniem obcasa. Rozpada się, podczas gdy ja namiętnie całuję w usta tę anonimową twarz. On pyta, jak mam na imię. Mówi mi swoje. Nie słucham. Biorę go za rękę. Idzie za mną bez słowa.

W części dla VIP-ów nie ma już nikogo, Ludzki przyływ zrobił miejsce brudnym resztkom rozpaczliwej orgii. Dwie czy trzy zagubione osoby miotają się jeszcze groteskowo, same, twarzą do jakichś wymyślonych kompanów. I dostrzegam nicość w ich rozszerzonych źrenicach. Znajduję moją torebkę od Diora, porzuconą na jakimś siedzeniu, i pociągam za sobą nieznajomego. Bramkarze puszczają mi oczko, bawi ich to, że wychodzę z takim palantem. W taksówce jest gorąco i obrzydliwie. Zaczynam mu masować. Chcę tylko jednego, żeby się spuścił na skórzane siedzenia. Ale chyba jednak trzeba mu czegoś więcej. Nie wybrałam tak źle.

To ja płacę za przejazd i daje mi to niezdrową satysfakcję. Rozbieram go w windzie. Rozdzieram mu koszulę, mając nadzieję, że to jego ulubiona. Jest zbyt zaskoczony swoim szczęściem, żeby wydać z siebie najmniejszy protest. Zaciska palce na mojej cierpiącej

skórze. Pod spódnicą nie mam nic. Wkładam klucz do zamka. Zaciągam go do biblioteki. To mój ulubiony pokój. Popycham go na skórzany fotel. Rozrywam mój stanik. Jestem całkiem naga. Zabieram się za jego dżinsy, które odrzucam w stronę kominka. Staje mu. Debil. Siadam na nim okrakiem, z nienacka, z nogami po dwóch stronach fotela. Chcę dominować. Podnoszę z podłogi jego koszulę. Udając, że się nią bawię, wkładam mu ją na głowę. Nie chcę znosić apokaliptycznego widoku tego żalosnego grymasu rozkoszy, tych wytrzeszczonych oczu, tej rozdziawionej gęby. Ruszam się tam i z powrotem. To ja odwalam całą robotę. Odsuwam jego ręce, które próbują zgłębić moje ciało, które głaskają moje włosy, i przytrzymuję je za oparciem fotela. Chcę tylko jego kutasa. Żeby go całkowicie zszokować, biorę ze stolika pilota. W wieży jest *Traviata*. Włączam dźwięk na cały regulator, nie mam ochoty słuchać jego jęków. To nie jest wystarczająco podłe. Muszę się zbrukać, zadać sobie ból, zranić się w nieodwracalny sposób. Chcę zrobić wszystko, żebym już nie mogła patrzeć na siebie w lustrze. Mówię mu, żeby mi zrobił to, co robi swoim koleśiom w Queen. On się poddaje, czuje przede mną strach. Odwracam się. Moje włosy się rozplatają i spadają na moje mokre od potu plecy, podczas gdy on brutalnie rozdziewicza wszystko, co zostało jeszcze we mnie czystego. Teraz jestem całkowicie zepsuta. Czuję zbliżający się falami orgazm, cała moja istota zanurza się w tym rozkosznym cierpieniu. To smutny orgazm. Na mojej twarzy maska bólu zastygła na zawsze.

Odpycham go. Z rzeżeniem przyjemności pada na fotelu i spuszcza się wszędzie. Na dywan, na stolik, a przede wszystkim na siebie samego. Ta jego żalosna nagość, splamiona przez wytrysk jego własnego brudu sprawia, że mam ochotę wrzeszczeć z odrazy. Biorę papierosa, zapalając go złotą zapalniczką Dupont, na której widok on szeroko otwiera oczy. Rozgląda się wokół. Olbrzymi sufit, żyrandol, dzieła sztuki, obrazy, półki wypełnione kolekcjami książek. Jeżeli nie podoba mu się mój widok, niech ogląda ściany! Jego wzrok powraca na panią tych włosów. Porzucona na kanapie odzyskuje oddech, rozpraszając, wraz z szarawym dymem papierosa palonego po tej nikczemności, żal po swej utraconej czystości. Ignoruję jego obecność. To nawet nie jest prowokacja, mam go gdzieś. Obserwuję przez okno noc. On próbuje nawiązać rozmowę.

– To mieszkanie twoich rodziców?

– Tak.

– Gdzie oni są?

– W Normandii. Proszę cię, oszczędź sobie zadawania mi pytań. Nie sądzę, żebym była tu po to, żeby z tobą dyskutować.

– Więc idziemy spać?

Ten cham sądził, że położy głowę na mojej poduszce, że się wtuli w moją czystą pościel.

– Zadzwoń po taksówkę, gdzie mieszkasz?

Zaniemówił. Cieszę się jego ogłupiałym wyglądem. Dokładam jeszcze.

– Nie przejmuj się, jeżeli mieszkasz daleko. Płaci firma mojego ojca.

Przełyka obelgę. Musi być miły, bo wygląda na bardziej smutnego niż złego.

– Dlaczego mnie tutaj przyprowadziłaś?

Zapalam kolejnego papierosa. Bez słowa wyciągam znikąd woreczek koki. Robię sobie na ręce kreskę, którą wciągam bez rurki, między dwoma zaciągnięciami papierosem. Chcę być w jak najlepszej formie, żeby przywrócić tę utratę.

– Słuchaj, malutki, nie będę ci tłumaczyć życia. Ile masz lat, dwadzieścia, dwadzieścia pięć? I jesteś zaskoczony? Wychodzisz już pewnie od paru lat, więc wiesz jak to działa. Zwijam cię z parkietu w Queen o szóstej rano. Myślisz, że po to, żeby cię przyprowadzić do moich rodziców i żebyś mi zrobił dzieci? Nie jesteśmy z tego samego świata, kochany. Dziś wieczorem miałam ochotę, żeby mnie ktoś przeleciał jak kurwę. Spełniłeś swoje zadanie. To, że się pieprzyliśmy, nie znaczy, że będziemy kumplami. Nawet nie wiem, jak masz na imię, i szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć. Więc teraz ubierasz się, bierzesz swoje rzeczy i spadasz. Wygrałeś dymano i taksówkę. Czego chcesz więcej? Chcesz cygar, koki, kasy? Bierz, co chcesz, i spadaj. Chcę być sama, rozumiesz, sama.

Wpatruje się we mnie, niedowierzając.

W tym czasie chwytam za telefon. Mój ojciec ma, konto w G7. Ten głupek może pojechać spać nawet do Essonne, jeżeli mu to odpowiada. Niech tylko spada. Zamawiam taksówkę.

– Masz siedem minut. Nie rób takiej miny. Słuchasz najpiękniejszej na świecie opery. *Traviata*, mówi ci to coś? Verdi? Nie? Inspirowany *Damą kameliową*. Chcesz, żebym ci opowiedziała tę historię? Nauczyłybyś się czegoś. Usypiając później, będziesz się czuł mądrzejszy.

On nie odpowiada.

– To jest bardzo proste. Alfredo kocha Violetkę. Violetta kocha Alfreda. To miłość, pasja, coś niesamowitego. Lecz Violetta jest kurtyzaną. To znaczy luksusową kurwą. Violetta jest luksusową kurwą i znając się na rzeczy, wie, że Alfredo nie ma środków, by ją utrzymać. A że ona nie chce go zrujnować, próbuje odejść z jego życia. Wielka kłótnia, godzenie się we łzach i decyzja, by już nigdy więcej się nie rozstawać. Jednak teraz kolej na ojca Alfreda na zrobienie syfu. Żąda od Violetty, żeby dała spokój jego synowi, bo ich haniebne pożycie

plami dobre imię rodziny. Violetta, zdecydowanie gotowa na wszelkie poświęcenia, robi wszystko, by oddalić od siebie zakochanego Alfreda. I tak jej się to dobrze udaje, że ten, szacowny jak mało kto, sprawia jej tyle bólu, że ona w końcu przez to zdycha. Przez to i przez gruźlicę. Bo ona jest gruźliczką, jak każda dobra bohaterka romantyczna. Proszę. Piękna historia o miłości. Przerwana przez śmierć. Smutne to, co?

– Tak, to smutne.

– Dalszego ciągu nie znamy. Nie wiadomo, co później dzieje się z Alfredem. Nie wiadomo, czy udaje mu się zapomnieć Violetkę. Jak on może znosić życie, podczas gdy ta, którą kocha, nie żyje. Może. Dwadzieścia lat później Alfredo ma żonę, jest skromnym ojcem rodziny, jego wzrok się pogarsza, pojawia się lekka łysina, a gdy imię Violetta wyłania się z mglistej mieszaniny jego wspomnień, kojarzy ją z jednym ze swych wybryków młodości, należycie już odpokutowanym, i nawet już nie wie, czy jego eks-Dulcynea umarła, czy po prostu odeszła. A może Alfredo oszalał? A może Alfredo umarł z rozpacz?

Ależ nie. Ja znam ciąg dalszy. Alfredo chodzi co wieczór do Queen. Topi swój ból w wódce. Pije jak szewc i kończy każdy wieczór na czworakach. I myśli o tej, którą stracił.

Alfredo poznał kokę, i zapycha sobie nią cały nos przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. I myśli o tej, którą stracił. Alfredo nie umie już płakać. Ponieważ płacz przynosi ulgę, a on nie chce czuć ulgi. Violetta jest stracona na zawsze, a Alfredo mści się za śmierć tej, którą kochał, na innych dziwkach, na nic nieznaczących kretynkach. Pieprzy je, deprawuje i zadaje im ból. Chciałby je zabić, ale nie ma na to odwagi. Przede wszystkim chciałby zabić siebie, wysadzić się w powietrze. Ponieważ nie ma już po co żyć. Jednak na to też nie ma odwagi. To tchórz, to nędzny tchórz. Nie jest zdolny do opuszczenia tego żalnego żywota. Woli go przeżyć najgorzej, jak się tylko da. Alfredo jest alkoholikiem, narkomanem i samobójcą. Och, nie trzeba się nim przejmować. On też już niedługo zdechnie. Z przedawkowania, w wypadku samochodowym, od ciosu nożem w jakiejś uliczce, na jakąś nieuleczalną chorobę... Odzyska uśmiech tylko po to, by się pożegnać. Teraz spadaj, twoja taksówka musi być na dole.

Odprowadzam go do drzwi. Bełkota dwa czy trzy słowa. Jego współczucie mnie brzydzi. Trzaskam mu drzwiami przed nosem.

Spokój. Wreszcie samotność. Wkładam szlafrok i wracam do biblioteki, by położyć się na zbezczeszczonej kanapie. Siadam jednak najpierw nieruchomo przed kominkiem, gdzie nie tańczy żaden ogień. Palę cygaro za cygarem. Moje nieruchome oczy zwrócone są do środka, ku zgąśtemu promykowi minionej przeszłości, ku pozłacanym obrazom zmienionego szczęścia.

Nie oczekujcie zakończenia tej historii. Nie ma go. On nie żyje i już nic nie ma dla

mnie sensu. Widzę przyszłość jako nieskończoność cierpień i nudy. Tchórzostwo powstrzymuje mnie przed zakończeniem moich dni. Będę dalej wychodzić, épać, pić i prześladować kretynów.

Póki od tego nie zdechnę.

Ludzkość cierpi. A ja cierpię razem z nią.

Wyróżnione fragmenty są tłumaczeniami piosenek *Avec le temps* (copyright Barclay) i *La vie d'artiste* (Wydanie Meridian) Léo Ferrégo.

Fragment z *Bleu du ciel* Georges'a Bataille'a (w oryginale za wydaniem Gallimard).

Rozdział 12, cytowane wersy pochodzą z wiersza *Harmonia wieczorna* Charles'a Baudelaire'a, w tłumaczeniu Marii Leśniewskiej; w: Charles Baudelaire, *Kwiaty zła*, wybór M. Leśniewska i J. Brzozowski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1990, s. 125.